

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 74

20 lipca, 1944

Cena (Price) 1/-

WILNO

WILNO, miasto, które w ciągu życia jednego pokolenia widziało wojska rosyjskie, niemieckie, bolszewickie, polskie, bolszewickie, litewskie, bolszewickie, polskie, a potem znowu bolszewickie, litewskie, bolszewickie, niemieckie, teraz znowu ogląda armię sowiecką. A raczej — ciężko to jest napisać — oglądają tę armię ruiny miasta Wilna.

Na ulicach miasta pełno jest z pewnością czerwonych plam — z krwi. Ale wyżej ponad nimi wykwitną inne czerwone plamy — flag. Rosjanie zajmują Wilno bowiem, jak głoszą ich komunikaty jako stolicę Litewskiej Republiki Sowieckiej.

Zanim wydamy następny numer mogą zająć Lwów. Zanim kra zaczęnie płynąć Wisłą mogą zająć Warszawę.

Nie będziemy tu snuć rozważań strategicznych. Teren między Dnieprem a Wisłą ma to do siebie, że armie przesuwają się po nim z wielką szybkością, w obu kierunkach. Niewiele ponad miesiąc szli od Dniepru do Wisły Bolszewicy w r. 1920-tym, tyleż czasu Polacy w miesiąc potem. Niespełna miesiąc zajęło Niemcom przejście w r. 1941-ym od Bugu do Dniepru. Trzy tygodnie upłynęło między rozpoczęciem ofensywy rosyjskiej nad Dnieprem a zajęciem Wilna i Kowla. To, jakie będzie tempo postępów armii Czerwonej ani nawet na jakie napotka ona przeciwdziałania ze strony niemieckiej, nie może zmienić jednego zasadniczego faktu: Polska cała przed końcem tej wojny będzie okupowana przez wojska rosyjskie.

Z jakimi zamiarami politycznymi weszły Sowiety na ziemie polskie? Nie trzeba rozwijać rozumowań, wystarczy podać fakty.

Rząd sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim. W Rosji powstały dywizje, złożone z Polaków, dowodzone przeważnie przez Rosjan, pozostające pod rozkazami armii sowieckiej i nie uznające władz polskich. Powołany został do życia w Moskwie "Związek Patriotów Polskich," prowadzony przez komunistów. Powołana została w Moskwie "Krajowa Rada Narodowa"

głosząca się przedstawicielstwem społeczeństwa polskiego. Ostatnio i "Związek Patriotów" ogłasza że rząd polski jest nielegalny. Władze sowieckie przywłaszczyły sobie tem prawo przyznawania obywatelstwa polskiego.

Owszem, są jeszcze optymiści. Do takich należy np. pismo "The Sunday Times." Donosi ono w dniu 9 lipca:

"Chociaż na powierzchni niema znaków poprawy w stosunkach polsko-sowieckich, w kołach sowieckich w Londynie wskazuje się, że świeże oświadczenia dokonane przez Związek Patriotów Polskich w Moskwie nie powinny być uważane jako wyrażające poglądy rządu sowieckiego. Stosunek Związku do rządu polskiego w Londynie jest, mówi się wewnętrzną sprawą samych Polaków. Ani Polacy w Londynie ani Polacy w Moskwie nie reprezentują masy ludu polskiego. Lud polski jako całość wyrazi swoje poglądy na politykę wewnętrzną i zagraniczną, gdy wojska sowieckie uwolnią kraj. Ponieważ czas wyzwolenia wydaje się być bliski jest możliwe, że rząd sowiecki zechce poczekać aż do tego czasu zanim zrobi jakiegokolwiek dalsze posunięcie dla zakończenia obecnego impasu."

Jasne. Chyba jasne?

"Wewnętrzna sprawa samych Polaków." Kiedy przed paru miesiącami Stalin zrobił aluzję, że gotów jest poprawić na rzecz Polaków linię graniczną Ribbentrop-Mołotów, w parę dni odezwał się Sowiec Ukraiński z żądaniem ziem leżących na zachód od linii Ribbentrop-Mołotów. Mówiono wówczas, że to wewnętrzna sprawa między Polakami a Ukraińcami. "Lud polski wyrazi swoje poglądy." W r. 1939 lud polski "wyraził swoje poglądy", że chce koniecznie należeć do Sowów, Łomżyńcy okazali się stuprocentowymi Białorusami a Lwowiacy Ukraińcami, Wilnianie zaś nie mieli jeszcze wówczas uświadomienia narodowego litewskiego, ale białoruskie. Przy podobnym głosowaniu Londyńczycy zapewne okazaliby się Irlandczykami a Paryżanie Włochami.

Premier Mikołajczyk powrócił z Ameryki bardzo zadowolony i pełen najlepszych nadziei.¹⁾ Przed półtora rokiem jego poprzednik powrócił także z Ameryki i stanąwszy na podwyższeniu przed frontem Pierwszego Korpusu w Szkocji wołał, że wszystko zostało rozwiązane jaknajlepiej, że wyniki jego amerykańskiej podróży przeszły najsmielsze jego oczekiwania.

Tymczasem Wilno zostało zajęte przez armie rosyjskie.

Bez jakichkolwiek dla nas gwarancji. Bez jakiegokolwiek umowy. Bez jakiegokolwiek zapewnienia ze strony naszych sojuszników zachodnich. Bez wystarczającego nawet z naszej strony protestu. A Wilno to nie koniec, to dopiero początek.

Bo nie można uważać nawet za protest tego oświadczenia rządu polskiego w którym powiedziano: "podtrzymuje punkt widzenia podzielany przez inne rządy sprzymierzone, że żadne zmiany terytorialne dokonane podczas wojny nie mogą być uznane jeśli nie mają miejsca za swobodną zgodą stron zainteresowanych." Za to "jeśli nie" ktoś kiedyś ciężko odpowie.

Pięć lat zgubnej polityki przynosi dojrzały owoc.

¹⁾ Jak wyglądają istotne stosunki polsko-amerykańskie w chwili obecnej, nie w świetle kinkietów podczas przyjęć w Białym Domu, ale w świetle rzeczywistości dnia codziennego, co do tego pewne wątpliwości budzą trzy fakty: 1) nie ma ambasadora amerykańskiego przy rządzie polskim, stanowisko to od czasu podania się do dymisji p. Biddle jest nieobsadzone, 2) attaché wojskowy amerykański w Moskwie gen. Krist brał udział w przyjęciu wydanym przez Berlinga w rocznicę sformowania dywizji im. Kościuszki, 3) audycje polskie w programie radiowym amerykańskim "Poland Fights Hitler."

“MY, NARÓD POLSKI . . .”

Z MOSKWY nadeszły niedawno wiadomości, że przebywający tam komuniści pochodzenia polskiego, podający się za delegatów ustanowionej w Polsce z ramienia Rosji t.zw. Krajowej Rady Narodowej — organizacji dywersyjno-propagandowej, której zadaniem jest zwodzić opinię publiczną co do prawdziwej woli narodu polskiego — ogłosili iż owa “Rada” nadała sobie *provisoryczną konstytucję*, w której oświadczyła, że jej moralna i legalna podstawa spoczywa w Konstytucji Marcowej z 1921 r. i że lud polski nigdy nie uznał “totalitarnej konstytucji” z kwietnia 1935, na której opiera się Rząd w Londynie. (*The Times* z 5 lipca 1944 r.)

Jest to jeszcze jedna próba wmówienia w łatwowiernych lub zastraszonych, iż Państwo Polskie przestało istnieć w 1939 r. i że obecne wysiłki i ofiary od lat pięciu już bezustannie zmierzające do wyparcia wroga niemieckiego z terytorium Rzeczypospolitej nie przedstawiają sobą legalnej ciągłości naszego bytu politycznego.

I dlatego nie od rzeczy może będzie przytoczyć tu wspaniały wstęp do Konstytucji Marcowej z 1921 r., uchwalonej na dzień tylko przed podpisaniem w Rydze traktatu pokojowego ze Związkiem Sowieckim, dającego Polsce i jej wschodniemu sąsiadowi jedynie słuszne rozgraniczenie terytorialne. Oto tekst tej historycznej deklaracji:

“W imię Boga Wszechmogącego i My, Naród Polski,
— dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas z półtorawiekowej niewoli,
— wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały,
— nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja,
— dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku, a pragnąc jej byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekiustych zasadach prawa i wolności,
— pragnąc zarazem zapewnić rozwój wszystkich jej sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość, a pracy poszanowanie, należąca prawa i szczerą górną opiekę Państwa zabezpieczyć —
— tę oto Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy.”

Piękna ta deklaracja nie znalazła się niestety w Konstytucji Kwietniowej, która zresztą wyraziła te same myśli w formie bardziej suchej i legalistycznej, mniej zaś uroczystej i pozbawionej przytem tła historii i tradycji polskiej, które z taką wyrazistością wyrzeźbił projektodawca wstępu do Konstytucji Marcowej, jeden z najzárdliwszych patriotów ówczesnego polskiego pokolenia.

Konstytucja Kwietniowa mówi w swoim Artykule I:

“Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli.
Wskreszone walką i ofiarą najlepszych swych synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie.
Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmocnić siłę i potęgę Państwa.
Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem.”

Widzimy jak drogą była dla projektodawców i redaktorów obu Konstytucji idea historycznej ciągłości naszego narodowego bytu i legalnej ciągłości Państwa Polskiego. Idea ta była wspólna wszystkim polskim ośrodkom politycznym, zasługującym na to miano. Z materiałów, które mamy po rękę wspomnimy tylko że Przewodniczącym Komitetu Narodowego Polskiego i zarazem wtedy już Szef Polskiej Delegacji Pokojowej na Konferencję Pokojową w Wersalu, Roman Dmowski, zaczyna swoją notę do Przewodniczącego Komisji do Spraw Polski, Juliusza Cambona, w sprawie granic zachodnich Polski (Nota z dnia 28 lutego 1919 r.) od nawiązania do suwerennego Państwa Polskiego w wieku XVIII. “Odbudowanie Państwa Polskiego winno być uważane — pisze Dmowski — jako: akt sprawiedliwości i odszkodowania za zbrodnie rozbiórów (1772—1793—1795).”... Tak samo w nocie z dnia 3 marca tegoż roku, w sprawie granic wschodnich Polski, Dmowski zaczyna od roku 1772, nawiązując do ostatniego legalnego stanu rzeczy między Polską i Rosją. Wedle jedynej bowiem możliwej dla Polaków do przyjęcia koncepcji naszego Państwa, nie przestaje ono żyć legalnie, choćby nawet przemoc obca pozbawiła je możliwości objawiania na zewnątrz, w formach ogólnie przyjętych, aktów istotnych naszego bytu niepodległego.

Koncepcja ta zresztą zawsze cieszyła się uznaniem umysłów nieuprzedzonych i poparciem ośrodków politycznych kierujących się zasadami, a nie względami na interesy materialne. Pierwszy rząd sowiecki w Rosji uroczyście zniósł (dekretem z dn. 29 sierpnia 1918 r.) traktaty podziałów Polski, zawarte przez Rosję w wieku XVIII. Słowa dekretu położyły nacisk na “niepozbywalne prawa narodu polskiego do niepodległości i zjednoczenia.” A w naszych czasach Karta Atlantycka, czyli deklaracja zasad, w obronie których Koalicja antyniemiecka prowadzi wojnę, także położyła nacisk na konieczność restytucji tego, co obca przemoc narodom odebrała. W pojęciu restytucji (... *życzą sobie, by prawa suwerenności i samorządzenia się przywrócone zostały tym narodom którym je siłą odebrano.*—Art. 3) mieści się pojęcie niezuznawania stanu wytworzonego przez przemoc, a więc pojęcie ciągłości legalnej bytu politycznego narodów ujarzmionych.

Skoro jesteśmy zasadniczymi i programowymi przeciwnikami tej brzydkiej obsesji, politycznej która opanowała pewne polskie koła a która wyraża się w ekshibicjonowaniu na zewnątrz wszystkich sporów i walk wewnętrznych, nie będziemy tu podejmowali próby wytłumaczenia quislingom moskiewskim, że są w błędzie, przerywając legalny byt Państwa Polskiego na Konstytucji Marcowej i odrzucając Konstytucję Kwietniową jako nielegalną. Tłumaczenie takie byłoby niegodne patriotyzmu polskiego. Byłoby to bowiem wprowadzanie czynnika obcego w nasze sprawy wewnętrzne, politycznie podważałoby naturalną zasadę suwerenności narodowej, nie znoszącej usprawiedliwiania się wobec obcych, a moralnie uchylałoby godności narodu polskiego. Suwerenny naród może toczyć wojny lub sprzymierzać się z sąsiadami, może rozmawiać z ich rządami, nie może zaś dopuścić na równą stopę ze sobą pachołów tego sąsiedniego, czy w ogóle obcego, rządu. Góral w wierszu Kasprowicza rozumie to, czego nie chce rozumieć Berling, ani A.

Witos, że gazda nie może rozmawiać z parobkiem, a tylko z gazdą.

Możemy jednak poczynić, parę uwag dla siebie samych. Mieliśmy najpierw Konstytucję Marcową, teraz mamy Konstytucję Kwietniową. Żadna z nich nie mogła i nie może być uważana za szczyt rozwoju naszych instytucji politycznych. Krytykę jednak i my w tym miejscu i cała polska społeczność musi odłożyć do sposobniejszej pory. Nie mogę przeprowadzać na sobie operacji samokrytycyzmu, kiegy wróg czyha, żeby chwycić mnie za gardło. Samokrytycyzm modny jest w Związku Sowieckim, a to właśnie przed egzekucją, naród polski do tej roli tak ulubionej przez prokuratorów marksistowskich zejść nie może i nie zejdzie.

Konstytucja Kwietniowa została wprowadzona w życie przez Prezydenta, który został wybrany na podstawie Konstytucji Marcowej i to głównie głosami polskich lewicowych grup politycznych. Tylko narodowcy głosowali w 1926 r. przeciw kandydaturze profesora Mościckiego, głosy natomiast ludowców i lewicy przechyliły szalę w Zgromadzeniu Narodowym na rzecz Mościckiego. Podobnie w 1939 r. w konsekwentnej walce z ówczesnym reżimem trwali tylko narodowcy, ludowcy natomiast i socjaliści oraz przedstawiciele t.zw. Frontu Morges konferowali z Prezydentem Mościckim, domagając się powołania przez niego rządu Jedności Narodowej. I jeżeli kto miałby prawo utrzymywać zasadniczą opozycję przeciw reżimowi pomajowemu, to tylko Stronictwo Narodowe. Zarówno jednak to Stronictwo, jak i całość politycznie zorganizowanego społeczeństwa rozumiała, że nie można doprowadzić do skrajności w walce wewnętrznej o własny program polityczny, a to wobec sąsiedowania z zaborczymi totalizmami, dla których walka taka byłaby wymarzoną sposobnością do interwencji.

Nie brak więc dowodów, że z takich czy innych przyczyn w Polsce istniała ciągłość rozwoju legalnego, choć kierunek tej ciągłości mógł skądinąd nie odpowiadać potężnym nawet siłom politycznym w społeczeństwie. To jednak jest już nasza sprawa wewnętrzna.

Skoro jednak quislingowie moskiewscy powołują się na Konstytucję Marcową, przeciwstawiając ją Kwietniowej, od razu stwierdzić należy, że jest to grube nadużycie, obliczone na ignorancję i oportunistyczny odpowiednik zagranicznych kół politycznych. Wystarczy zapoznać się z tekstem wstępu do tej Konstytucji, zacytowanym przez nas powyżej, wystarczy przeczytać słowa “dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny na oku,” by zobaczyć od razu, że osobnicy przyjmujący linię Ribbentrop-Mołotow za “objektywnie przywoitą podstawę” rokowań o granice (cytowany *The Times* z 5 lipca 1944) nie mają w sobie nic z ducha Konstytucji Marcowej. Zresztą art. 2 tej Konstytucji stanowi wyraźnie:

“Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu. Organami Narodu w zakresie ustawodawstwa są Sejm i Senat, w zakresie władzy wykonawczej Prezydent R.P. łącznie z odpowiedzialnymi ministrami, w zakresie wymiaru sprawiedliwości niezawisłe sądy.”

Nie może chyba ulegać wątpliwości, że reprezentanci tej komunistycznej formacji zwącej się Krajową Radą Narodową, nie są ani Sejmem i Senatem, ani Prezydentem R.P., ani ministrami, ani sądami, ani wreszcie nie mają najmniejszych pełnomocnictw od żadnego z tych organów Narodu w rozumieniu Konstytucji Marcowej.

Artykuł 88 Konstytucji Marcowej stanowił

też m.i., że obywatelstwo polskie nabywa się: przez nadanie . . . ze strony powołanej władzy państwowej." Nie jest chyba "powołaną władzą państwową" polską w rozumieniu Konstytucji Marcowej, albo jakiegokolwiek innej zasady prawnej, Najwyższy Sowiet Związku Sowieckiego, który w dekrete z 11 lipca 1944 arogował sobie prawo nadawania polskiego obywatelstwa. Jakież daleko odszedł ten bezprawny dekret od dekretu z 29 sierpnia 1918, w którym rewolucja rosyjska przekreśliła, w teorii politycznej przynajmniej, zbrodnię Rosji Kararzyny Drugiej. Jeżeli obu tymi dekretemi mierzyć będziemy drogę, do której, co najmniej w stosunku do Polski, ta rewolucja odbyła, zobaczymy, że zakreśliła ona pełny obwód koła, że wróciła — jak wszystkie obiektywne dane wskazywać się zdają — do punktu, z którego wyszła.

W tym miejscu naszych rozważań możemy opuścić quislingów, powołujących się na Konstytucję Marcową i słuchających pokornie dekretu przypisującego atrybuty organów Narodu Polskiego Rządowi Rosyjskiemu. W ten sposób bowiem dochodzimy do jądra zagadnienia.

Zapewne, gdyby była możliwa dyskusja ze stroną sowiecką, usłyszeliśmyby, że przecież Premier sowiecki kilkakrotnie oświadczył już, że życzy sobie Polski silnej i niepodległej. Jakież jednak czyni dostarczają treści tym słowom?

Wydaje się, niestety, że od roku 1939 r. polityka sowiecka weszła na drogę czysto negatywnej ciągłości historycznej rosyjskiej wobec Polski, na drogę odmawiania Polsce bytu niepodległego. Metodą zaś w tej polityce nawrotu do zaborczości samodzielną rosyjskiej jest m. i. odmawianie rosyjskie Państwu Polskiemu ciągłości legalnej. W dniu 28 września 1939 r. traktat niemiecko-sowiecki, zawarty w Moskwie, stanowił dla Państwa Polskiego przestępstwo. W dniu 30 lipca 1941 r. w układzie londyńskim Rząd Związku Sowieckiego oświadczył wobec Rządu Polskiego, że traktaty sowiecko-niemieckie . . . utraciły swoją moc. Uznając przez sam fakt zawarcia układu Rząd Polski w Londynie, Moskwa wystrzegła się jednak starannie wszelkich sformułowań, z których by wynikało bezpośrednio, bez potrzeby uciekania się do interpretacji, uznanie że Państwo Polskie we wrześniu 1939 r. istnieć nie przestało. Rząd Polski zaniedbał tu staranności prawniczej zachodnio-europejskiej, nie tylko w zagadnieniach politycznych, ale i w samej redakcji formalnej.

Nie będziemy tu recytowali wszystkich posunięć rosyjskich, wypływających z koncepcji nieuznawania legalnej ciągłości Państwa Polskiego. Jednolita ta i bardzo konsekwentna koncepcja przebiega zarówno z posunięć politycznych, jak i propagandowych. Obie te dziedziny aktywności sowieckiej wyraźnie mają na celu utworzenie drogi koncepcji dotąd czysto sowieckiej na forum międzynarodowym. Jest to zadanie trudne, ale konsekwencja sowiecka oraz niezdarność i niezarnadność polska nie pozwalają w tej dziedzinie na optymizm.

Wystarczy przypomnieć raz jeszcze przysięgę składaną przez oddziały Berlinga w Związku Sowieckim:

"Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej we krwi, narodowi polskiemu uwięzionemu w niemieckiej niewoli, że nie skalam imienia Polaka, że wiernie będę służył Ojczyźnie."

Przysięga ta obdziera Polskę z wszelkich atrybutów suwerenności, pozostawia ziemię polską nagą, bez okrycia jej płaszczem własnej państwowości, pozostawia naród polski bezbronnym, bez własnych organów rządzenia, na

laskę (lub swawolę) potencyj obcych. Słowa o imieniu Polaka, o Ojczyźnie, nie mają wyraźnego znaczenia prawnego, gdyż wedle koncepcji autorów tego tekstu naród polski nie ma mieć prawa stanowienia własnych praw, prawa te stanowiąc mają za niego i dla niego obcy.

Wystarczy zapoznać się z publicystyką polityczną sowiecką, żeby stracić ewentualne złudzenia co do rozwoju pojęć sowieckich o Polsce. Wspomnijmy tylko artykuł Profesora Tarle w jednym z numerów rosyjskiego pisma w Moskwie "Wojna i Klasa Pracująca" (grudzień 1943), p.t. "Polska a ofensywne stadium wojny." Wybitny ten historyk i znawca wojen napoleońskich, a w szczególności kampanii 1812 r., przypomina, że już Katarzyna Druga ostrzegała Polaków i że kiedy oni nie chcieli jej słuchać, "Prusy zabrały znaczną część Polski"! Tak samo, pisząc o 1863 r., historyk rosyjski przypomina, jak to londyński *Times* przestał drukować wiadomości ze źródeł polskich, zwalając winę na niedokładność informacji powstańczych. Ale o tym co robiła Rosja w 1788 czy też w 1863 profesor Tarle milczy, w artykule profesor Tarle przeinacza rzeczywistość, pisząc o wrześniu 1939 r.: "Malo kto wtedy pamiętał z jakim zapalem Beck przystąpił do paktu antykominternowskiego otrzymawszy odpowiedni rozkaz z Berlina." Nikt tego pamiętać nie mógł we wrześniu 1939 r., bo Polska nigdy do paktu antykominternowskiego nie przystąpiła, natomiast wszyscy sobie dokładnie zdawali sprawę, że to nie Beck, ale Molotow dogadał się wtedy z Ribbentropem.

Nie chodzi jednak o spieranie się o to co było w przeszłości; chodzi o to czy jest możliwe ułożenie stosunków polsko-rosyjskich na zasadzie dobrego sąsiedztwa. Jeżeli Rosja nie uzna legalnej ciągłości Państwa Polskiego jeżeli nadal dążyć będzie do przekreślenia tego co "męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń" przyniosły narodowi polskiemu po półtorawiekowej niewoli, jeżeli nadal wysilać się będzie, żeby zepchnąć naród polski do pozycji z 1795, 1830 lub 1863 r., to żadne ułożenie stosunków nie jest możliwe. Będzie walka, w której naród polski będzie ponosił straty, a naród rosyjski i Związek Sowiecki łatwe na razie tryumfy. Cieszyć się zaś i radować będą wtedy te czynniki światowe, którym nie na rękę by było spacyfikowanie rejonów styczności interesów rosyjskich i polskich, gdyż to ich zdaniem automatycznie pacyfikuje rejon dla nich ważniejsze. Pomyślą się i one, jak myli się dzisiaj polityka sowiecka. Za pomyłki i błędy się jednak płaci, jak to wynika zresztą nie tylko z zasad moralności, ale i z czysto materialistycznego pojmowania zjawisk jako łańcucha przyczyn i skutków działań materialnych. Polski rachunek będzie musiał być zapłacony.

Zagadnienie historycznej i legalnej ciągłości Państwa Polskiego ma jednak także swój aspekt wewnętrzny. Kiedy zaborcze mocarstwo usiłuje przerwać nić bytu narodowego, naród cały skupia się do obrony. Pozostawia wtedy na boku sprawy drobniejsze, zacierają spory, zwiera wszystkich w jednym szuku, bo i cóż wtedy znaczyć mogą różnice, kiedy o samo "życie narodowej wspólnoty chodzi.

Politycznie i militarnie należy bronić wtedy przede wszystkim zasady, na której byt Państwa się opiera. Bronić należy legalnej ciągłości bytu państwowego, gdyż w niej wyraża się suma dotychczasowego dorobku historycznego: terytorium, na nim ludność wylaniająca własną władzę i sama władza.

Rozumiał to i rozumie doskonale Kraj, organizując Polskie Państwo Podziemne na zasadzie, iż nie ma przerwy w byciu i działaniu państwowym, iż rzeczywistość polska, spoczywająca najistotniej w samych Polakach, w ich duszach i sercach, jest najzupełniej niezależna od rzeczywistości zaborczej, i że wobec tego między tymi dwiema rzeczywistościami może być tylko stan walki.

Nie rozumieliśmy i nie rozumiemy dotąd tej sprawy pewne polskie koła polityczne, wchodzące w skład naszych rządów na emigracji.

Wypomnieliśmy w swoim czasie ostro Premierowi Sikorskiemu ("Myśl Polska" z 1 maja 1942, artykuł "Osobowość polityczna Polski w tej wojnie") ten błędny kierunek jego myślenia i polityki, któremu dał wyraz wtedy w nowic w Nowym Yorku oświadczając:

"Chwila obecna nie nadaje się do zalążenia przyszłych granic. Wszystko wzajemnie nas dotyczące znajduje się w stanie płynnym."

Przypomnieliśmy mu wtedy, że to wrogowie nasi starają się nasze granice "upłynnić", naturalnym zaś zadaniem polityki polskiej jest bronić zasady, iż Polska ma granice ustalone i uznane w traktatach sąsiedzkich i w prawie narodów.

Tak samo przestrzegamy teraz Gabinet p. Mikołajczyka i jego samego. Nie wolno dążyć w czasie wojny do zmiany ustroju, jeżeli się chce uniknąć w zakresie osobowości prawnej Polski przed forum międzynarodowym tych skutków, które rząd Sikorskiego osiągnął w sferze naszych zagadnień terytorjalnych. Mocarstwa Zachodnie uznały naszą niepodległość w czasie tamtej wojny, ostatecznie na Konferencji Wersalskiej, granice zaś nasze wschodnie w 1923 r. Rosja uznała naszą niepodległość i te granice ostatecznie w 1921 r. Są to nasze prawa zasadnicze w społeczności narodów. Są to prawa przysługujące Polsce, jako znanemu podmiotowi prawa narodów. Jeżeli w czasie kiedy Rząd oderwany jest od Kraju zmieniać się będzie naturę prawną podmiotu, czyż nie dostarczy się argumentów, iż jest to zupełnie już inna osoba prawna, której tamte prawa nie przysługują, która musi dobijać się znowu o wszystko od początku?

Kto ma prawo zrezygnować z tego co osiągnęło poprzednie pokolenie? Z dwudziestu lat ostatnich odrodzonej państwowości polskiej?

Dąży do tego dziś, po naszej stronie frontu, polityka sowiecka, która jednak postępuje ostrożnie, gromadząc powoli fakty i argumenty. Najpierw nie uznaje praw obywatelskich polskiej ludności naszej z terytoriów zagarniętych w 1939 r., potem praw obywatelskich polskich żydów bez względu na ich miejsce zamieszkania w Polsce, z kolei tworzy oddziały pod sztandarem polskim, wreszcie aroguje Rządowi Sowieckiemu prawo nadawanie polskiego obywatelstwa. A Rząd Polski milczy! A Rząd Polski nie protestuje! A Rząd Polski nie działa!

Obroncy polityki Gabinetu p. Mikołajczyka powiedzą na to może, że kiedyś wysłano tam jakieś noty, na których ogłoszenie nie zezwoliła ostrożność dyplomatyczna. Czyż jednak nawet koła dyplomacji nie patrzą już ze zdziwieniem na polityków, którzy, są za ostrożni, żeby podnosić głos protestu, kiedy się poddaje ich ekspropriacji z dóbr i praw ich kraju? Cóż to za polityka? Co się ma za to milczenie?

Wiadomo, że nie!

Co więc, zamiast organizować obronę zewnętrzną, organizuje się pod pozorem "demokratyzacji" rozgrywki wewnętrzne.

Przemawiając na uroczystości w rocznicę śmierci ś.p. Generała Sikorskiego, premier Mikolajczyk oświadczył:

„... możemy dziś ze spokojem stwierdzić, że na przestrzeni pięciu lat walki Polska równocześnie przygotowała i przybrała cechy państwa o ustroju demokratycznym.”

To bardzo ciekawe co może Premier polski z spokojem stwierdzić! Ze przerobił rzekomo ustrój Państwa Polskiego. Ale napewno nie może ze spokojem stwierdzić, że polityka jego zapewniła Polsce byt niepodległy. Mówi tak o Polsce jak zacietrzewiony klasyk o Homerze: nie wiadomo napewno, czy ten poeta naprawdę istniał, ale wiadomo, że był ślepy!

Naród polski napewno sam sobie zdola nadać ustrój demokratyczny, bez pomocy rządowej demokracji kierowanej z Londynu, ale nie o to teraz chodzi. Teraz chodzi o niepodległość i o to wszystko co z tym pojęciem w polityce jest związane: utrzymanie dotychczasowego status w prawie narodów, integralność terytorialną, niezależność polityczną.

Zeby ten cel osiągnąć, trzeba walczyć, trzeba dokonać koncentracji sił narodowych na perymetrze obrony tego, co nam wszystkim wspólne. Nie wolno zaś wykorzystywać wiązania narodu walką z najedźcą, żeby mu w tym czasie narzucić ustrój.

Kiedy w 1792 r. wróg stanął na ziemi francuskiej, woła Francuzów obrony buchnęła w Marsyliance słowami: *aux armes, citoyens!* kiedy ziemia polska jest w niebezpieczeństwie, Rząd Polski w Londynie woła bezustannie:

aux discussions, citoyens! Rada Narodowa ma na porządku dziennym w lipcu 1944 r. — ordynację wyborczą, a czołowy publicysta oficjalnego pisma Rządu Polskiego martwi się tym, że bez zasady proporcjonalności tyle głosów „marnuje się”. . . w Wielkiej Brytanii.

Nie wolno też nikogo wyłączać od walki o prawa Polski, nie wolno wyklinać i zwalczać żadnego patriotycznego ugrupowania polskiego, tym bardziej poważnego i wielkiego ruchu politycznego, nie wolno nikogo szantażować sytuacją wojenną do zmiany przekonań, żeby tylko podobać się pewnym czynnikom międzynarodowym.

Nie wolno wreszcie uprawiać żadnych sztuczek i gierki z oparciem jakiego Kraj udziela Rządowi. Kraj uznaje Rząd za swój rząd legalny i w tym wszyscy Polacy są zgodni, bez względu na to, czy należą do jednego z czterech stronnictw czy nie. Politycznie jednak Rząd nie opiera się o cztery stronnictwa, lecz tylko o dwa wbrew trzeciemu i tego żadna gra słów nie zmienia. Rządy które w prawdziwych informacjach z Polski są zainteresowane, dobrze widzą jak jest naprawdę i naiwnością jest przypuszczanie, że ten czy inny dziennikarz piszący w języku angielskim może tu wywrzeć jakiś wpływ. Rządy te wiedzą dobrze, iż rząd polski zajmujący się partyjnymi gierkami w czasie kiedy bronić trzeba samych podstaw narodowego bytu polskiego, może być traktowany w polityce tak jak jesteśmy tego świadkami.

M.R.

KLUCZ DO EUROPY

WWOJNA obecna toczy się przede wszystkim w Europie i rozstrzygnie się w Europie. Los narodów kontynentu europejskiego od jej wyniku zależy i każdy z tych narodów jest do niej w ten czy inny sposób wciągnięty. A jednak o losie stałego lądu Europy zdecydować nie jego mieszkańcy. Europa, do tak niedawna władczyni świata, jest dziś polem bitwy, jutro będzie pobojuwiskiem, pojutrze niewiadomo czy w ogóle będzie istnieć jako jednolity cywilizacyjny.

Położenie Kontynentu przypomina bardzo położenie Niemiec w czasie Wojny Trzydziestoletniej. Tak, jak wtedy losy Europy rozgrywały się przez losy Niemiec, tak teraz losy świata rozgrywają się przez losy Europy. Niemcy były w wojnie Trzydziestoletniej polem bitwy ale nie stroną walczącą. Wszystkie państwa niemieckie były w tę wojnę wciągnięte ale nie one decydowały o jej wyniku. Decydowały państwa, których ciężar leżał poza Niemcami, ale które miały na terenie objętym granicami tradycyjnego świętego Cesarstwa Rzymskiego Niemieckiego Narodu swe posiadłości, jak Francja i Austria. Wojna miała silny podkład ideologiczny i oficjalny cel ideologiczny. Siłę katolicyzmu reprezentowała Austria, siłę protestantyzmu Szwecja. Wygrała w gruncie rzeczy Francja, która, będąc katolicką, sprzymierzyła się z czysto narodowych pobudek z protestantyzmem. Dopatrzyć się nawet można pewnych analogii między rolą Austrii w czasie Wojny Trzydziestoletniej a rolą Niemiec w wojnie obecnej.

Niemcy zostały wówczas zniszczone do tego stopnia, że ludność ich spadła o przeszło połowę. Ale zniszczenie Niemiec w owym czasie miało dla cywilizacji znacznie mniejsze

znaczenie niż mieć może obecnie zniszczenie Europy.

“O France, sans toi le monde serait seul!” — powiedziano niegdyś. “O Europo—można powiedzieć dziś—bez ciebie świat byłby po-tworny.” Dmowski napisał kiedyś, że jeśli narody europejskie nie zdobędą się na zdrowy rozsądek, że w przyszłości turyści z innych części świata oglądać będą ruiny kominów fabrycznych Europy tak jak my oglądamy ruiny greckich kolumn. Od lat wszystko zdaje się zmierzać w tym kierunku, jakby miała się spełnić ta ponura wizja.

Wierzmy, że się nie spełni. Europa i w sensie cywilizacyjnym i ekonomicznym i politycznym posiada siły większe pod względem i jakości i ilości niż jakkolwiek inny kontynent. Europę można odbudować. Siły te są obalone i przytłumione przez przeciweuropejską herezję niemiecką, ale nie są zniszczone. Ich wyzwolenie wymaga tylko właśnie owego tradycyjnego europejskiego rozumu, o którym wspomina Dmowski. Klucz wszakże do tego wyzwolenia, do uruchomienia tych sił leży poza kontynentem europejskim ale nie poza Europą. Leży on w Anglii. Anglia jedyna może te siły uruchomić, i to wysiłkiem znacznie mniejszym niż się jej samej wydaje i ze znacznie mniejszym ryzykiem. Główna trudność nie jest zewnętrzna, jest ona wewnętrzno-angielska.

Anglia stała się potęgą dzięki morzu. Odkaś się nią stała, przyjęła linię zasadniczą poddyktowaną jej ówczesnym położeniem geograficzno-politycznym. Polegała ta linia na tym, by nie “wchodzić w Europę,” pilnować tylko, aby nikt nie ustalił swej hegemonii na Kontynencie a cały swój wysiłek kłaść

w budowę zamorskiego imperium i stamtąd czerpać swe siły.

Na jednego Brytyjczyka mającego wpływ na rządy swego kraju, który ma doświadczenie stosunków bliższych z narodami europejskimi, wypada kilku, lub może nawet kilkunastu, którzy mają doświadczenie stosunków z ludami pozaeuropejskimi. Główną szkołą stosunków z innymi ludami są dla Anglika Indie. Na przeszło pół miliarda poddanych króla Jerzego prawie czterysta milionów mieszka w Indiach. To arcydzieło polityki, jakim jest sprawne rządzenie czterystu milionami ludzi mówiących kilkudziesięciu językami i kilkuset gwarami, wyznających kilka różnych religii o dziesiątkach sekt, przez niewiele ponad sto tysięcy płynnego przeważnie elementu brytyjskiego, waży na polityce angielskiej w ogromny sposób.

Jeżeli Niemcy umieją tylko niszczyć inne narody a są zupełnie niezdolni do rządzenia nimi, to Anglicy posiadają w najwyższym stopniu umiejętność rządzenia innymi przy pomocy bardzo różnorodnych metod. Niestety doświadczenie ich w ostatnich paru pokoleniach jest bardzo jednostronne. Ogromna większość współczesnych polityków angielskich, kiedy myśli o oddziaływaniu na inne narody, — myśli kategoriami indyjskimi. By rządzić jakimś państwem indyjskim, wystarczy mieć wywiad, pieniądze i oddanie paru miejscowych osobistości radzy, jakiegoś wezyra, fakira i bajadery. Osiągnięcie podobnego rezultatu w stosunku do jakiegoś państwa europejskiego nie może prowadzić do niczego. Mogło prowadzić do czegoś w Europie przed paruset laty, dziś nie może. Państwa bowiem europejskie są państwami narodowymi, a nie dynastycznymi i każdy obywatel uważa się za współodpowiedzialnego za swoje państwo. Aby mieć wpływ na Europę, trzeba mieć wpływ na masy europejskie. Sojuszu trzeba szukać nie z dygnitarzami a z ruchami politycznymi.

Rzecz tę doskonale rozumie Rosja. W okresie bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej kiedy przez Europę szedł nastrój rewolucji społecznej, Rosja starała się być ich ogniskiem. Trwała przy tej polityce dość długo, bardzo nawet długo, ale nastroje rewolucji proletariackiej opadały i komuniści ponosili klęskę za klęską: w Bawarii, we Włoszech, w Chinach, w Niemczech, w Hiszpanii. Partie komunistyczne spadły do roli agentur Moskwy, wyobcowanych z miejscowego społeczeństwa, stały się raczej ośrodkami wywiadu i propagandy niż ruchami politycznymi.

Wchodząc w Europę w latach 1939-40, Rosjanie zachowali się jak najedźdzy. Mieli na miejscu trochę agentów, żadnego sojusznika. Zrozumieli, że to był błąd i zmienili metodę. Komintern został formalnie rozwiązany i skierowano wysiłek na obalenie muru obcości, dzielącego komunistów od reszty społeczeństwa. Dziś Rosja, nietylko dzięki zwycięstwom swej armii, ale i dzięki tej polityce znajduje w prawie każdym narodzie, oprócz agentów, poważne siły polityczne jako sojuszników.

Jeszcze przed jakimiś dwoma laty Europa patrzyła przede wszystkim na Anglię. Dziś patrzy znacznie mniej. Nie jest to kwestia siły Anglii. Wręcz przeciwnie: narody Europy były zapatrzone w Anglię, gdy ta była najbardziej zagrożona i najsłabsza, ich wiara zachwiała się w okresie pierwszych zwycięstw brytyjskich, opada, gdy rośnie siła Anglii i jej zwycięstwo się przybliża. Dzieje się tak dlatego, że przed paru laty Anglia miała w każdym narodzie europejskim potężnych sojuszników potencjalnych i nie umiała ich

ze sobą związać, zniechęciła ich i przeważnie utraciła.

Anglia oddziaływała niezwykle silnie na narody europejskie w jednym okresie: w osiemnastym wieku. Liberalizm angielski więcej zdziałał dla jej stanowiska w Europie niż angielskie złoto. Ale każda epoka ma swoje hasła i ideały, które przeżywają się. Liberalizm umarł w samej Anglii. Przez ostatnie sto lat Anglia, żyjąca przede wszystkim swoim imperium przestała oddziaływać od wewnątrz na Europę. Nie zależało jej na tym tak bardzo. Dziś, kiedy szukanie sojusznika wewnętrznego w Europie znowu stało się koniecznością, jedynym doświadczeniem angielskim w tym zakresie w stosunku do narodów europejskich jest wciąż tylko liberalizm. Ale liberalizm umarł nie tylko w Anglii, umarł on jeszcze gruntownie w Europie, przeszedłszy przed śmiercią przez stadium zachowawczej lewicy. Jest coś dziwnie makabrycznego w wyciąganiu z zapomnienia włoskich osiemnastowiecznych liberałów i sadzaniu u steru nawy państwowej. Upiorna scena, jakby ktoś do steru statku posadził starców przysięgłych o drżących rękach. Wielka Brytania tradycyjnie szuka sojuszników na lewicy i trafia w próżnię.

Wojna obecna, trzeba sobie z tego zdawać sprawę, wykańcza to, co zaczęło się po poprzedniej: likwidację ruchów pośrednich, likwidację partii "umiarkowanych." Pomiedzy komunizmem a ruchami narodowymi (używającymi zresztą najróżniejszych nazw) jest już tylko mgła.

Od ruchów narodowych rzeczywistych odróżnić naturalnie należy ruch międzyna-

rodowy sztuczny, jaki pod hasłami nacjonalistycznymi, szerzyli Niemcy w wielu mniejszych krajach europejskich w postaci różnych Nihilosów, Ustaszów, Ouenów, Rexów, a których symbolem jest ruch Quislinga w Norwegii. Były to najczęściej naśladownictwa, które przemieniły się w agentury, a odznaczały się tym, że uprawiały międzynarodowy nacjonalizm.

Anglia jest najstarszym państwem narodowym w świecie. Obie wielkie partie angielskie są bardziej narodowe niż jakiegokolwiek ruchy na kontynencie. I właśnie dlatego Anglicy nie zdają sobie z tego sprawy. Tym, co imponowało Europie w roku, powiedzmy, 1940—tym nie była angielska "postępowość" czy "wolnościowość," ale angielski patriotyzm, zwartość, zdolność do dokonywania dla ocalenia narodu rewolucyjnych zmian gospodarczo-społecznych bez łamania prawa. Anglia jest atrakcyjna dla Europy nie przez swój poziom życia materialnego i "nowoczesność" ale przez swoją odrębność, swój dostały charakter narodowy, przez swoją... angielskość.

Gdyby Brytyjczycy to zrozumieli i wyciągnęli z tego konsekwencje, to mieliby w rękę klucz do zagadnienia europejskiego. A wówczas oni by odbudowali Europę na trwałych podstawach i zyskali w niej stanowisko jedyne.

Nie można tego przecież zrobić ani metodami skutecznymi w innej części świata, ani metodami skutecznymi w innej epoce.

Rosja umiała dojrzeć w porę, że epoka tęsknot rewolucyjno-socjalnych się skończyła i przestawić swoją metodę na wykorzystywanie — tęsknot patriotyczno-narodowych.

P.J.

pozbawione reprezentacji. Wybory proporcjonalne mają na celu równomierne zapewnienie przedstawicielstwa większości i mniejszościom, odpowiednio do liczby ich zwolenników.

3. Wybory większościowe.

Na przykładzie wygląda to w sposób następujący. Przyjmijmy, że pewien okrąg wyborczy ma wybrać jednego posła spośród trzech kandydatów, A, B i C. A uzyskuje 30.000 głosów, B—20.000 głosów, C—5.000 głosów. Wybrany w systemie większościowym zostaje A, głosy zaś oddane na B i C przepadają. Mniejszości, głosujące na B i C, zostają bez reprezentacji, jakkolwiek razem tworzą one większość w danym okręgu wyborczym. Anomalie tego rodzaju są w wyborach większościowych częste; w ich wyniku okazuje się zazwyczaj, że niektóre grupy polityczne uzyskują reprezentację nadmierną, inne niedostateczną w stosunku do ilości oddanych na nie głosów, jeszcze inne—nie otrzymują jej wcale wskutek rozproszenia głosów. W wyborach do Izby Gmin z r. 1935 partja rządowa uzyskała 406 mandatów i 11.810.158 głosów, t.zn. jeden mandat przypadał na ok. 29.000 wyborców. Opozycja zdobyła 169 mandatów na ok. 10.106.896 głosów, t.j. jeden mandat na ok. 60.000 wyborców. Wyniki tych samych wyborów, jeżeli wziąć tylko okręgi południowej Anglii, były jeszcze jaskrawsze: partja rządowa zdobyła w nich 2.068.373 głosy i 77 mandatów, partja Pracy—836.573 głosy i żadnego mandatu, partja liberalna 320.307 głosów i 2 mandaty.

Anomaliom tym zapobiegają częściowo ulepszenia, wprowadzone przez niektóre państwa do systemu wyborów większościowych; ulepszenia te mają jednak ujemne strony innego rodzaju. Nabardziej interesującymi są system francuski wyborów podwójnych i system głosowania alternatywnego (preferencyjnego) przyjęty w Australii.

W systemie francuskim wybrany w pierwszym głosowaniu mógł być tylko kandydat, który uzyskał bezwzględną większość głosów, reprezentujących nie mniej niż 14 wyborców. Kandydaci, którzy nie uzyskali tej większości, obowiązani byli stanąć do wyborów powtórnych (ballotage) w których wystarczała już zwyczajna większość głosów. Ilość kandydatów stojących do wyborów powtórnych była zazwyczaj mniejsza gdyż kandydaci nie mający szans zdobycia mandatu rezygnowali z kandydowania często za cenę pewnych korzyści politycznych lub nawet osobistych. Niejednokrotnie zgłaszano kandydatów do pierwszego głosowania tylko po to aby ich wycofać wzajemnie za te lub inne koncesje. Było to jednym z powodów dla których system wyborów podwójnych wywoływał poważną krytykę.

System głosowania alternatywnego polega na tym że wyborca w okręgu jednomandatowym głosuje na jednego kandydata, ma jednak prawo wskazać drugiego na którego oddaje głos w przypadku gdyby pierwszy nie został wybrany (drugą preferencją). Do uzyskania mandatu potrzeba bezwzględnej większości głosów. Jeżeli żaden z kandydatów, stojących na pierwszym miejscu, tej większości nie uzyska, skreśla się nazwisko kandydata,

1) Istnieją tu częściowe wybory pluralne (w okręgach uniwersyteckich oraz z tytułu t. zw. business premises, t.j. posiadania przez wyborcę zakładu przemysłowego w innym okręgu, niż okrąg zamieszkania).

ORDYNACJA WYBORCZA

1. Konieczność opracowania nowego prawa wyborczego.

Przeprowadzenie wyborów do Izby Ustawodawczych w Polsce na podstawie obowiązujących ordynacji wyborczych z 8 lipca 1935 r. uznawane jest powszechnie za politycznie niemożliwe. Ordynacja wyborcza do Senatu wprowadziła zasadę opartego na wątpliwych kryteriach elitaryzmu kolegium wyborczego, ordynacja wyborcza do Sejmu pozbawiła wyborcę wszelkiego wpływu na ustalanie kandydatur poselskich, oddając tę sprawę całkowicie do ręki kolegów specjalnych (zgrupowań okręgowych), uzależnionych faktycznie od czynników administracyjnych. Założeniem obu ordynacji było wyłączenie z procesu wyborczego zorganizowanych na demokratycznych podstawach ruchów politycznych i oparcie składu parlamentu na t.zw. wartościach indywidualnych jego członków. Założenie to w zastosowaniu praktycznym doprowadziło do utworzenia parlamentu politycznie bezbarwnego, będącego powolnym narzędziem w rękach elity rządzącej. Obie ordynacje były od początku swego istnienia wysoce niepopularne i bojkotowane przez przeważającą większość społeczeństwa.

Potrzeba zatem opracowania nowych ordynacji jest niewątpliwa i sprawa jest przedmiotem zainteresowania Rady Narodowej oraz prac Rządu na emigracji, opracowywanego od dłuższego czasu projekty nowych ustaw wyborczych. Istnieje jednak, jak się zdaje, pewna dysharmonia co do zasad, na których,

ustawy te mają być oparte. Wszystkie zainteresowane czynniki wysuwają zgodną zasadę, że nowe ordynacje wyborcze mają być demokratyczne, nie wyjaśnia to jednak zbyt wiele. W ramach demokratycznych systemów wyborczych można opracować ustawy, prowadzące w jednakowych warunkach miejsca i czasu do wyników zupełnie różnych, zależnie od założeń politycznych, leżących u podstawy tych ustaw. Sprawa wymaga zatem pewnych wyjaśnień.

2. Wybory demokratyczne.

Postulatem wyborów demokratycznych są —zgodnie z doktryną—wybory pięcioprzmiotnikowe, t.j. powszechne, równe, tajne, bezpośrednie i stosunkowe (proporcjonalne). Praktyka odbiega tu jednak od doktryny.

Pierwsze cztery przymiotniki uchodzą wspólnie za bezsporne, jakkolwiek angielskie prawo wyborcze, któremu nikt nie ujmie demokratyzmu, wykracza przeciwko zasadzie równości wyborów,¹⁾ sprawa natomiast piątego przymiotnika (stosunkowości) jest sporna do tego stopnia, że największe demokracje świata (Anglia, Francja, większość stanów w Stanach Zjednoczonych A.P.) nie znają wyborów stosunkowych, przyjmując system wyborów większością głosujących. Różnica polega na tym że w wyborach większościowych w ich czystszej formie rozstrzyga o zdobyciu mandatu zwykła (względna) większość głosów, przy czym mniejszości zostają całkowicie

który otrzymał najmniejszą ilość głosów, oddane zaś na niego głosy zalicza się na korzyść kandydata, stojącego na drugim po nim miejscu (drugiej preferencji) i postępuje się w ten sposób dopóki jeden z kandydatów nie uzyska bezwzględnej większości. System ten ma tę wadę że przechodzi przy nim zazwyczaj nie kandydat, którego chce większość wyborców lecz ten, przeciwko któremu mają oni najmniej zastrzeżeń. Przy równoważących się wpływach prawicy, lewicy i środka największe szanse zdobycia mandatu w głosowaniu alternatywnym mają stronnictwa centrowe

4. Wybory proporcjonalne.

Istotą wyborów proporcjonalnych są okręgi wielomandatowe, mające na celu zapewnienie reprezentacji szerokiemu wachlarzowi kierunków politycznych; obliczanie wyniku wyborów odbywa się przy pomocy t.zw. dzielnika wyborczego (quota, quotient). Dzielnik wyborczy otrzymuje się zazwyczaj przez podział liczby oddanych w okręgu głosów przez liczbę mandatów do obsadzenia. Każde ugrupowanie polityczne otrzymuje ilość mandatów, wynikającą z podziału oddanych nań głosów przez dzielnik wyborczy. Jeżeli zatem w trzymandatowym okręgu wyborczym oddano ogółem 60.000 głosów, z czego 40.000 na stronnictwo X, a 20.000 na stronnictwo Y, to po ustaleniu dzielnika wyborczego (60.000 : 3 = 20.000), dzielimy go przez liczbę głosów, oddanych na każde ze stronnictw. W wyniku X otrzymuje 2 mandaty, Y — jeden mandat. Przykład powyższy jest jednak tak uproszczony, że w praktyce się nie zdarza. W rzeczywistości wyborcy nie oddają swych głosów w ten sposób, aby można było wyciągać z nich bez reszty ilorazy, określające dzielniki wyborcze i podział mandatów. W celu rozwiązania powstających stąd trudności wynaleziono szereg systemów, z których najbardziej znane są dwa: system t.zw. pojedynczego przenoszonego głosu (single transferable vote) oraz system d'Hondta.

W systemie pojedynczego przenoszonego głosu głosuje się na osoby. Okręgi są kilkumandatowe, lecz wyborca głosuje na jednego tylko kandydata, wskazując równocześnie na kartce wyborczej swą drugą i następną preferencję, t.zn. osoby na które głosuje, gdyby odpadł kandydat, wskazany na pierwszym miejscu. Przy obliczaniu wyników ustala się dzielnik wyborczy i uznaje się za wybranych tych kandydatów, którzy otrzymali ilość głosów, równą co najmniej temu dzielnikowi. Jeżeli ilość kandydatów, w ten sposób wybranych, jest mniejsza, co bywa zazwyczaj, od ilości mandatów do obsadzenia, przydziela się pozostałym kandydatom ewentualne nadwyżki głosów uzyskane przez już wybranych, w porządku wskazanych przez wyborców preferencji. Jeżeli i to nie wystarczy do obsadzenia wszystkich mandatów, skreśla się kandydata, który otrzymał najmniejszą ilość głosów, a oddane na niego głosy przydziela się pozostałym w porządku preferencji i postępuje się w ten sposób, dopóki potrzebna ilość kandydatów nie uzyska ilości głosów, równej przynajmniej dzielnikowi wyborczemu. System ten wymaga dość żmudnych obliczeń, jest jednak może najprzeżytniejszy ze znanych systemów wyborów stosunkowych.

Prostszy, lecz również bardziej prymitywny, jest system d'Hondta, stosowany w Belgii i przyjęty w naszych ordynacjach wybor-

czych z r. 1922. Głosuje się w nim na listy, oblicza się ilość głosów, oddanych na każdą listę i dzieli się otrzymane liczby kolejno przez 1, 2, 3, itd., na końcu przez liczbę, odpowiadającą ilości mandatów do obsadzenia w okręgu wyborczym. Otrzymane ilorazy szereguje się kolejno według wielkości, poczym wyodrębnia się tyle największych ilorazów, ile jest mandatów. Każda lista otrzymuje tyle mandatów, ile jej przypada największych ilorazów.

5. Ocena obu systemów wyborczych.

Wybory stosunkowe pozwalają niewątpliwie na znacznie wierniejsze odtworzenie nastrojów i prądów politycznych, istniejących w społeczeństwie, niż wybory większościowe, eliminujące wogóle drobne ruchy polityczne. Eliminacja ta ma jednak tę ceną właściwość że sprzyja utworzeniu parlamentu, złożonego z niewielkiej liczby stronnictw, parlamentu o zdecydowanej strukturze politycznej, w którym nawet przy braku wyraźnej większości łatwiej jest ustalić odpowiedzialność za rządy i odpowiedzialność za opozycję. Można twierdzić, że parlament taki jest krzywym zwierciadłem opinii publicznej, że większość rządząca nie reprezentuje w nim najczęściej większości społeczeństwa, lecz trzeba wybierać pomiędzy ideą sprawiedliwej reprezentacji, a zdolnością izb ustawodawczych do przeprowadzenia wyraźnego programu politycznego. W okresach przelomu, okresach, wymagających reform zasadniczych i gruntownej przebudowy życia publicznego, posiadanie parlamentu, zdolnego nie tylko do sporów i dyskusji, lecz również do działania, ma znaczenie rozstrzygające.

Parlament, w którym na równi z masowymi ruchami politycznymi pretendują do udziału w rządach drobne grupki i koterie polityczne, wylania zazwyczaj rządy bezbarwne, zmuszone w celu utrzymania się przy władzy do zaskarbiania sobie względów tych lub innych działaczy, niewiele lub nic nie reprezentujących a odgrywających w układzie zespołu rządzącego rolę języczków u wagi, rządy pożerane często od wewnątrz bakcyłem intrygi politycznej. Rząd, wyloniony przez parlament, reprezentujący wielkie organizacje polityczne o trwałym charakterze, musi się również liczyć z koniecznością sporów, ustępstw i kompromisów, nie są to już jednak zakulisowe konflikty koterijne, lecz spory i kompromisy, powstające na tle zmagania się interesów masowych i dążeń do ich harmonizacji.

Można również twierdzić, że system wyborów większościowych ma rację bytu tam, gdzie, jak np. w Anglii, pozwala na utrzymanie ustroju dwupartyjnego, z wyraźnym podziałem na rząd i opozycję i wyraźnym ustaleniem odpowiedzialności wobec wyborcy; że nigdzie na kontynencie system dwupartyjny nie istniał i że u nas w szczególności wprowadzenie wyborów większościowych do systemu tego nie doprowadzi. Jest to słuszne, lecz bliżsi będziemy systemu angielskiego przy wprowadzeniu wyborów większościowych, niż przy wyborach proporcjonalnych. Jeżeli ustroj parlamentary angielski uznawać za wzór ustroju demokratycznego, to niemożność osiągnięcia tego wzoru nie powinna hamować dążenia do zbliżenia się doń w granicach możliwości.

Wybory proporcjonalne nie byłyby niebezpieczne przy założeniu konsolidacji życia politycznego w Kraju. Przy niewielkiej ilości stronnictw uzyskuje się w wyborach wy-

knościowych i proporcjonalnych wyniki niemal te same. Niestety, istnieje w Kraju, jak się zdaje, obok ugrupowań masowych, duże rozdrobnienie kierunków myśli politycznej. Rozdrobnienia tego nie powinniśmy potęgować przez dopuszczanie tych drobnych ruchów do głosu w ciałach ustawodawczych, gdyż przez to skazalibyśmy je na niemoc od pierwszej chwili ich istnienia.

Pierwszy parlament Rzeczypospolitej po odzyskaniu niepodległości będzie równocześnie konstytuanta, będzie decydował o ustroju państwa może na długie lata. Jest istotne, aby ustroj ten był wyrazem konsekwentnej myśli politycznej a nie zbiorem przepisów, ubezwładniających wzajemnie naczelne władze państwowe. Jeżeli chcemy mieć demokrację, musimy dać jej zdolność do życia. Dwudziestolecie naszej niepodległości dało nam cenne doświadczenia w tej dziedzinie, o których zapominać nie możemy.

We współczesnych warunkach życia publicznego funkcje ustawodawcze parlamentu schodzą na drugi plan; właściwym ustawodawcą staje się rząd, działający bądź na mocy pełnomocnictw ustawodawczych, bądź też ujmujący w swe ręce — niemal wyłącznie — inicjatywę ustawodawczą. Tym większego znaczenia nabiera inna funkcja parlamentu, funkcja kontroli rządu. Parlament, będący swoistą mozaiką grup i koterii kontroli tej skutecznie sprawować nie może. Parlament, reprezentujący jedynie masowe ruchy polityczne, ma niezbędny do tego autorytet i powagę.

6. Inne elementy prawa wyborczego.

Przepisy nowych ordynacji wyborczych będą musiały się miścić w ramach obowiązującej konstytucji. Nie zawiera ona warunku stosunkowości wyborów, lecz inne jej przepisy nasuwają poważne wątpliwości. Ustala ona wiek, uprawniający do korzystania z czynnego prawa wyborczego, na lat 24, przez co odsuwa od wpływu na życie polityczne Kraju masy młodzieży, która postawą swoją w czasie okupacji dała dostateczne dowody na to, że wpływ ten mieć powinna. Dalej konstytucja pozbawia możliwości głosowania tylko wojskowych, należących do zmobilizowanej części wojska lub marynarki wojennej, przewiduje mianowanie przez Prezydenta R.P. 1/3 senatorów i zalicza prawo ich mianowania do prerogatyw Prezydenta. Z treści art. 47 konstytucji wynika tendencja do wprowadzenia elitarnych wyborów do Senatu, co zresztą zrealizowała ordynacja wyborcza z r. 1935.

Postępowanie wyborcze może się opierać bądź na istnieniu stałych rejestrów wyborców (Anglia, Francja), prowadzonych i uzupełnianych corocznie przez władze lokalne, bądź na spisach sporządzanych każdorazowo i specjalnym aparacie wyborczym.

Stale rejestry mają wiele zalet, byłoby jednak rzeczą przedczesną wprowadzanie ich w projektowanym na okres przejściowy prawie wyborczym. Należałoby zatem zastrzymać na razie spisy ad hoc i specjalny aparat wyborczy z udziałem czynnika sędziowskiego, dający zresztą w naszych warunkach większe gwarancje bezstronności przy prowadzeniu wyborów.

Rozważenia wymaga kwestja obowiązkowości bądź fakultatywności udziału w wyborach. W państwach, które wprowadziły obowiązek głosowania (Czechosłowacja, Belgia), procent głosujących podniósł się bardzo wydatnie.

7. Możliwość wydania ordynacji wyborczej na emigracji.

Ponieważ Izby Ustawodawcze są rozwiązane, nowe ordynacje wyborcze mogą dojść do skutku jedynie w drodze dekretów Prezydenta Rzeczypospolitej. Pełnomocnictwa dekretowe Prezydenta trwają jednak według konstytucji dopóty, dopóki na obszarze państwa istnieje stan wojenny. Z chwilą zatem, gdy odpadną konstytucyjne przesłanki utrzymywania stanu wojennego (konieczność użycia sił do obrony Państwa), pełnomocnictwa ustawodawcze Prezydenta wygasną. Okoliczność ta nie pozwala na zbyt długą zwłokę w przygotowaniu ordynacji wyborczej.

Z drugiej jednak strony ordynacje te nasuwają kwestje, od których rozstrzygnięcia zależeć będzie w dużej mierze struktura przyszłych ciał parlamentarnych w Polsce, a co za tym idzie, przyszły ustrój Państwa i charakter reform, likwidujących skutki wojny i okupacji. Jest rzeczą nader wątpliwą, czy można decydować o tych sprawach w oderwaniu od kraju i narzucać mu — bez dostatecznej znajomości przeważającego tam układu sił politycznych — rozwiązania, których kraj być może nie zaakceptuje. Nasze spory o systemy wyborcze obracać się mogą przede wszystkim w sferze pewnych założeń doktrynalnych. Tymczasem właściwym punktem wyjścia powinny tu być istniejące stosunki polityczne i ustalenie, czy panujące kierunki opinii publicznej domagają się stabilizacji czy też zmiany tych stosunków. Jak będą stosunki te wyglądały po ustaniu okupacji, trudno obecnie przewidzieć.

Istnieją tu również i względy formalne. Istotną częścią każdej ordynacji wyborczej jest podział państwa na okręgi wyborcze. Podział ten ma większe znaczenie przy wyborach większościowych niż przy wyborach proporcjonalnych, ponieważ pierwszy system wyborczy daje szersze możliwości uprawiania t.zw. geografii wyborczej. Podziału tego dokonać obecnie niepodobna, bo nie ma niezbędnych potem danych. Nie można również ominąć tej trudności przez przekazanie sprawy rozporządzeniem wykonawczym, ponieważ według konstytucji (art 33) podział państwa na okręgi wyborcze do Sejmu musi nastąpić w drodze ustawodawczej. Wydana więc w obecnych warunkach ordynacja wyborcza byłaby ordynacją kadłubową nie dającą możliwości przeprowadzenia wyborów i wymagającą uzupełnienia przez osobny dekret, ustalający podział na okręgi wyborcze. Wydanie tego dekretu musiałoby nastąpić również w okresie trwania pełnomocnictw ustawodawczych Prezydenta. Można mieć w tych warunkach wątpliwości, czy przyoblekanie niepełnych projektów rządowych w formę ustawodawczą byłoby celowe, co nie powinno oczywiście wstrzymywać dyskusji nad tymi projektami. Dyskusja ta nie przesądzi zapewne zagadnień zasadniczych, lecz przyczyni się do ich analizy i przemyślenia.

8. Kiedy będzie możliwe zarządzenie wyborów.

Po zakończeniu wojny na teatrze europejskim rozpoczyna się masowe ruchy ludności, powrót do kraju tysięcy emigrantów, uchodźców i wysiedleńców. W obrębie samego kraju nastąpią liczne przesiedlenia osób, których do zmiany siedzib zmusiły warunki wojenne. Konieczność utrzymywania armii w stanie zmobilizowanym bądź jej częściowa lub całkowita demobilizacja przyczynią się jeszcze do powiększenia zamętu w stosunkach

demograficznych, jaki zapanuje po ustaniu okupacji. Trudno przewidzieć, jak długo portwa ten proces; należy go obliczać co najmniej na szereg miesięcy, a zarządzenie wyborów, zanim nie będzie on u schyłku nie wydaje się politycznie możliwe.

JERZY PIETRKIEWICZ

DWIE POMYŁKI

WPROWADZENIE literatury polskiej na rynek angielski należy niewątpliwie do rzeczy bardzo, bardzo trudnych, skoro nawet utwory nagrodzone zagranicą jak "Quo Vadis" i "Chłopi" nie cieszyły się w tym kraju dużą poczytnością. To samo można powiedzieć o przekładzie "Pana Tadeusza," o zbiorze opowiadań Sienkiewicza w wydaniu "Everyman's Library" (notabene: wzorowy przekład) o "Popiołach" Żeromskiego i innych próbach wydawniczych. Zadna z wymienionych tu książek nie osiągnęła popularności Dostojewskiego czy Czechowa.

Ze słowian Karol Czapek, Czech, dzięki swej sztuce R.U.R. zdobył szturmem intelektualny świat anglosaski i trafil nawet do Oxford English Dictionary (słowo, "robot") czym oprócz Mae West mało kto z żyjących może się poszczycić.

Przykład Rosji udowadnia jak znaczenie polityczne narodu wpływa na rozprzestrzenianie się jego kultury zagranicą. Nie jest to przykład odosobniony. Shakespeare awansował w opinii świata razem z rosnącą potęgą kolonialną Wielkiej Brytanii, Hiszpania Filipa II-ego i Francja Ludwika XIV-ego narzuciły Europie swój prestiż kulturalny. Literatury skandynawskie, gdyby nie były rozreklamowane przez cesarskie Niemcy, z trudem doczekałyby się tłumaczeń i uznania. Piękna poezja estońska, powieść fińska, ambitna i odkrywczą liryka południowo-amerykańska będą pewnie długo czekać na rynki międzynarodowe, wiele rewolucyjnych utworów nie wstrząśnie nigdy światem. I tak w sumiennie opracowanej dwunastotomowej historii literatur europejskich, wydanej po angielsku przez prof. Saintsbury'ego pięć narodów jest właściwie tylko reprezentowanych (Anglia, Francja, Niemcy, Włochy i Hiszpania); literatury słowiańskie zbywa się krótkimi informacyjnymi uwagami, w których Mickiewicz nazywa się czasem Nickiewicz.

ROLA PIERWSZYCH ANTOLOGII

U schyłku piątego roku wojny sprawa polska należy do najgłośniejszych w świecie, mimo wszystkich naszych politycznych klęsk, mimo że więcej pisze się o nas i mówi z niechęcią niż z sympatią. Na takim właśnie tle wprowadzenie literatury polskiej na rynek angielski jest znacznie ułatwione. Tym niemniej od pierwszych publikacji zależy w znacznej mierze dalsze powodzenie przekładów z naszej belletryki i poezji.

Przyznam się, że z wiekiem lękiem zabrałem się do lektury dwu książek wydanych ostatnio, a mianowicie do "A POLISH ANTHOLOGY" panów T. M. Filipa i M. A. Michael'a (Duckworth, London, cena 12 sh. 6d.) i do "POLISH SHORT STORIES" (Minerva, London, cena 10 sh. 6d.), zdając sobie sprawę jak tego rodzaju ambitne publikacje mogą zaważyć na przyszłości wszelkich innych przekładów z polskiego. Obie książki są antologiami, obie więc

Stosowany obecnie gdzieś system wyborów korespondencyjnych nie wchodzi tu w rachubę. Przygotowanie odpowiedniego aparatu zajęłoby w naszych warunkach więcej czasu, niż wyczekiwanie na zakończenie procesów przesiedleniowych.

reprezentują w całym tego słowa znaczeniu; krytyk, szczególnie obcy, ma prawo budować na nich swój ogólny sąd o literaturze polskiej. Od tego sądu zależy nie tylko los przyszłych wydawnictw, ale i stosunek do polskiej kultury w zestawieniu szczególnie z rosyjską, ponieważ Sowiety zasypują dziś rynek anglosaski swoją literaturą.

Każda więc nieostrożność, niedopatrzność, niedbałość i łatwizna ze strony wydawców obu wymienionych antologii zasługują na surową i drobiazgową krytykę. Nie chodzi tu bowiem o zdawkowe komplementy (szczerze chęci, dużo pracy włożonej, niesubwencjonowana propaganda i t.p.) jakimi się książki tego typu często obdarza; każdy literat polski ma obowiązek wglądnięcia w tę sprawę, ponieważ w grę wchodzi tu jego interes, co więcej: interes kultury, do której należy. Żołnierze polscy, szczególnie w Szkocji, zasypują swoich cudzoziemskich przyjaciół książkami dotyczącymi Polski; nic dziwnego, że zechcą wyrobić sobie sąd krytyczny o nowo-opublikowanych antologiach, zanim je kupią jako prezenty.

Zważywszy te wszystkie okoliczności, "Myśl Polska" — mimo braku miejsca na obszerniejsze recenzje, postanowiła poświęcić obu książkom osobny artykuł.

OPINIA PRASY ANGIELSKIEJ

Lektura "A Polish Anthology" i "Polish Short Stories" potwierdziła, niestety, mój lęk: obie prace, aczkolwiek, "A Polish Anthology" o niebo przewyższa antologię nowel, są po sumiennym rozpatrzeniu pro i contra dużymi pomyłkami. Opinie recenzentów angielskich, które w większości przeczytałem, nie są zbyt pochlebne — niektóre zbywają antologie "poklepującymi" uwagami, lub w wypadku "Polish Short Stories" — nie szczędzą nawet uszczypliwości i kpín.

Desmond MacCarthy z "Sunday Times," od którego należało się spodziewać interesujących wywodów, powtarza jedynie uwagi p. Michael'a ze wstępu do antologii poezji; sam ogranicza się do raczej ujemnej oceny przekładów, które zresztą w mojej opinii są najmocniejszą stroną książki. "Times Literary Supplement" krytykuje "slight mannered phraseology" przekładu, choć zdaje sobie sprawę z trudności tłumacza.

"Truth" powiada że celem antologii poezji było "to give the literal meaning of the original than to convey the beauty of the poetry in English" i traktuje rzecz całą "as an aid to reading the original."

"Polish Short Stories" miały bardzo złą prasę w Wielkiej Brytanii. Pisma zarzucają antologii słaby, niezadany przekład, błędny wybór nowel, brak objaśniającego wstępu, anonimowość publikacji itp. "Tribune" naprzykład przypuszcza że "clumsiness of style" została spowodowana przez oddanie tekstów kilku tłumaczom i zauważa słusznie,

że przekład jest "not a trade, but an art." "Time and Tide" zarzuca "unfamiliarity with contemporary English" i, przyznając że antologia została wydana na czasie nazywa ją jednak "hardly adequate". To samo pismo wychwala Makuszyńskiego, wywiedzione w pole przez fatalny dobór nowel innych autorów i nieporadność przekładów.

GIANTS AND LABELS

W naszej ocenie "A Polish Anthology" musimy jaknajgrubszą linią oddzielić pracę pana M. A. Michael'a, w którym zyskujemy nowego pioniera na polu zbliżenia polsko-angielskiego, od Polaka p. Filipa, odpowiedzialnego za sam wybór utworów i za ich zgrupowanie.

Wybór p. Filipa jest rzeczywiście osobliwy. Jakimi kryteriami kierował się, robiąc go, Bóg raczy wiedzieć. Wybierający miał duży respekt dla muz Słowackiego i Norwida. Ale miał go także i dla Tuwima. Są to, jak antologia twierdzi, "giants" literatury polskiej. Poinformowany przez p. Filipa p. Michael informuje z kolei swoich rodaków że "Tuwim . . . writing his 'Polish Flowers', bids fair to produce another of Poland's masterpieces". Przypuścimy, że ktoś uwierzy p. Michael'owi i zacznie studiować w oryginale to "arcydzieło." Znajdzie w nim staromodną, dziewiętnastowieczną mieszaninę sentymentalizmu, patosu i wulgarności, wzerowaną na Heinem i wczesnych poetach bolszewickich. Ten epigoński, rozgadany i patologicznie szczerzy twór jest kolekcją największej ilości prozaizmów w liryce napisanej po polsku, a w porównaniu z wcześniejszymi pracami Tuwima wyraża smutną dla p. Filipa prawdę, że najlepsze lata poety już dawno minęły.

Przed wszystkim żadna szanująca się antologia nie zamieszcza utworów pisarzy żyjących. Wynika to stąd, że opinie nasze o współczesnych są bardzo często mylne; potrzeba akcji niwelacyjnej czasu, żeby wielkością sezonowym głowy napuszone przytrzcęć. Każda szanująca się antologia próbuje ukazać literaturę w perspektywie, wyznaczyć właściwy dystans między czytelnikiem i pisarzem. Jakże oczekiwać od wydawców "A Polish Anthology" tej perspektywy i dystansu, skoro twierdzi się w niej, że "Kwiaty Polskie" będą arcydziełem, a tymczasem twór ten nie jest nawet ukończony. Jakże mieć zaufanie do książki, która posługuje się obcą każdej szanującej się antologii metodą przyczepiania reklamowych nalepek ("labels!")

SECESJA ZAMIAST C.O.P.

Skoro już p. Filip uparł się przy tłumaczeniu żyjących, powinien dać cudzoziemcom sprawiedliwy obraz poezji polskiej ostatniego dwudziestolecia, pokazać jej prądy, kontrasty, walki o formę i treść. W Anglii poezja nowoczesna poszła daleko. Angielscy nowatorzy dobiegają już sześćdziesiątki. Liczne i stale przedrukowywane antologie odkrywczymi wierszami uprzystępniają nową sztukę publiczności czytającej.

Tak jak jesteśmy dumni z osiągnięć technicznych Polski niepodległej, z nowoczesności jej portów, miast, fabryk, budowli, tak samo możemy być dumni, że na polu kultury nie byliśmy w tyle Europy, że polska poezja "Awangardowa" nie ustępowała swoimi zdobyciami formalnymi zagranicy, że gdyby wiersze Czechowicza, Tytusa Czyżewskiego,

Czuchnowskiego czy Przybosa ukazały się w dobrym przekładzie, mogłyby wywołać furorę wśród wielbicieli T. S. Eliota, George'a czy Rilkego. Sądząc z pism artystycznych Polski podziemnej poezja tego typu zdobyła sobie trwałe miejsce w naszej literaturze; proces wyklarowywania się "Awangardy" na łamach "Prosto z mostu," "Okolicy Poetów" i pism regionalnych dobiega wreszcie końca. P. Filip zamiast pokazać polski C.O.P. poetycki pokazuje niemiecką secesję w tuwimowskim wydaniu, zamiast ulic Gdyni poetyckiej-ponure uliczki Wilcze i Hoże, ostatnie fortece epigoństwa literackiego.

Nawet gdyby kto przyjął "wiadomościowy" punkt jednostronnego widzenia nasz-j współczesnej liryki, nie mógłby się także pogodzić z p. Filipem. Boć w "A Polish Anthology" jest Pawlikowska a nie ma zupełnie Illakowiczówny, jest tangopisarz z "Qui pro Quo" a nie ma jego patetycznego kolegi-werbalisty z "Cyrulika Warszawskiego."

JAK FILIP Z KONOPI

Przedmowa usprawiedliwia wydawców, tłumacząc, że antologia obejmuje tylko dziewiętnasty i dwudziesty wiek. Aliści p. Filip mówi: "Akuku! i drukuje wiersz Kochanowskiego "Na lipę." Używając warszawskiego powiedzenia—jest to po prostu lipa! Jeden, jedyny wiersz Kochanowskiego! Skoro już się dało autora "Trenów," była okazja do pokazania polskiego "Baroku", do poszczytowania się (a jest się czym szczycić!) Morsztynem, Potockim, a potem Węgierskim i Trembeckim. Ten jedyny nie wiedzieć poco wsadzony utwór Kochanowskiego sugeruje, że poezja polska tak jak niemiecka ma kilkuwiekową wyrwę w przeszłości, że między Kochanowskim i Mickiewiczem pustki, co jest krzywdzącą nas nieprawdą. Anglii, właśnie Anglii, dumnej jaknajślusniej z bogatej liryki elżbietańskiej i poetów metafizycznych XVII wieku należało pokazać naszą poetycką świętość w przeszłości, powiedzieć raz wreszcie Zachodowi, że kiedy poezja rosyjska nie istniała a niemiecka z trudem formowała literacki język, myśmy mieli bujną lirykę i epikę, jędrną satyrę i fraszkę; słowem—wykształcony, pewny siebie język literacki. Niemiecki i rosyjski uważaliśmy wtedy słusznie za niższe od polskiego, za wulgarnie, prymitywne języki. Tego rodzaju przedstawienie przeszłości zilustrowało by stwierdzenie p. Michael'a, że . . ." modern Polish is much closer to that of the seventeenth century than is modern English to the language of Shakespeare."

Antologia p. Filipa nie reprezentuje więc ani współczesności ani dawnej przeszłości. Czy reprezentuje jednak XIX wiek? Niestety, także nie. Wybór p. Filipa i w tym względzie jest nieprawdopodobnie przypadkowy. Bo, proszę sobie wyobrazić, w antologii, która powiada czytelnikowi kto jest "giant" a kto nie, nie umieszczono ani jednej linijki z Kasprowicza i Tetmajera, dwu niewątpliwie najwybitniejszych poetów po okresie romantycznym. Jest "giant" od tang pan Hemar, a jakże — ale nie ma autora "Hymnów," syna kujawskiego chłopca, fenomenu literatury europejskiej. Kabaretowy bard wyskakuje nagle po Słowackim i Norwidzie — zaiste, jak . . . Filip z Konopi! Natomiast o największym europejczyku polskim XIX wieku, o poecie najbardziej nadającym się na spopularyzowanie zagranicą — ani słowa! Pokazuje p. Filip dziewiętnasty wiek bez Kasprowicza, Tetmajera, Staffa, Rydla,

Langego, Wyrzykowskiego, bez Syrokomli, Pola, Lenartowicza, Konopnickiej, Asnyka, Maryli Wolskiej . . .

POETYCKA PROZA

Równie niekompletnej i niekompetentnej antologii nie można sobie wprost wyobrazić! Grube tomisko wypchano Słowackim i Żeromskim. Słowacki jest reprezentowany głównie przez "Beniowskiego" (poco było tłumaczyć także i czysto werbalne fragmenty poematu, skoro Anglicy mają je z pierwszej ręki w "Don Juanie" a Żeromski przez "Popioły." Jeśli już p. Filip uparł się, żeby Żeromskiego rozliryczoną prozę zaliczać do poezji, to dlaczego nie przypomniał sobie o istnieniu poetyckiej prozy Orzeszkowej ("Nad Niemnem" "Gloria Victis") Reymonta (O ile bardziej oryginalne opisy przyrody!) Berenta ("Żywe kamienie"), Dygasińskiego, Sieroszewskiego, a z młodszych najlepszego przedstawiciela poetyckiej prozy, Juliana Wołoszynowskiego ("Słowacki", "Rok 1863", "Twardowski," "Było tak"). Prawem kaduka włączył wydawca fragmenty dramatów Żeromskiego, a pominął "Wiatr od morza," "Wisłę" i rzeczywiście arcypoetycką "Powieść o Walgierzu Wdłym." Znowu pytanie: skoro jest miejsce na dramaty Żeromskiego dlaczego nie ma w antologii bardziej typowych dla naszego teatru wyjątków dramatycznych z Rostworowskiego, Przybyszewskiego i Szaniawskiego ("Ptak," "Adwokat i róża," "Zeglarz"—więcej w nich czystej poezji niż w Żeromskim.)

Można by zadawać tysiące podobnych pytań p. Filipowi, ale recenzentowi opadają ręce: nigdzie bowiem dotąd nie nagromadzono tylu naraz niekonsekwencji, żeby nie powiedzieć: nonsensów.

OJCZYŻNA — POLSzczyżna

W osobliwej tej antologii, która wydaje się być — sądząc z pretensjonalnych tytułów poszczególnych części — antologią liryczną, Mickiewicz istnieje jako autor epickiego "Pana Tadeusza," ani śladu natomiast "Sonetów krymskich" i ballad, któreby kraj Percy'ego i Scotta napewno bardzo zainteresowały.

Nieśmiało ukazują się w powodzi wierszy Słowackiego Krasieński i Wyspiański. P. Filip użyczy im łaskawie po jednym utworze, podczas gdy "giant" Tuwim doczekał się blisko dwudziestu.

Książka nosi tytuł: Moja ojczyzna polszczyżna; jąbym dodał jeszcze: filipczyżna. Jest to bowiem antologia, która powinna być opatrzona uwagą: jak sobie p. T. M. Filip wyobraża poezję polską. W Anglii wybitni ludzie wydają czasem antologie swoich ulubionych wierszy. Ostatnim przykładem tego rodzaju jest wybór ogłoszony przez wybitnego wojskowego, obecnie wicekróla Indii, Wavella. Niestety, p. Filip nie jest wicekrólem Indii, i przyznam się szczerze: dobrze niewiadomo kim właściwie jest, żeby mieć jakiegokolwiek upoważnienie wprowadzania literatury polskiej na obcy rynek. Polacy w Londynie, interesujący się literaturą, podzielili się — o polska kłótniwość! — na dwa obozy, i to jedynie spowodu p. Filipa. Jedni twierdzą mianowicie, że p. Filip to chytry pseudonim, inni przysięgają uroczyście, że widzieli go na własne oczy. Autor tego artykułu jest w zupełnej rozterce, ponieważ "Myśl Polska" zwykła informować swoich czytelników ściśle, zawsze zgodnie z prawdą.

WIERSZE PROZA

Pan M. A. Michael, jak powiedzieliśmy na początku, nie bierze odpowiedzialności za wybór, tylko za tłumaczenia. Dużo włożył w nie pracy. Wstęp jego, szczególnie w uwagach dotyczących języka polskiego, bardzo wnikliwy i oryginalny. Trzeba się jednak zastanowić czy przekład poezji prozą ma wogóle większy sens poza niewątpliwą pomocą, jaką będzie dla uczących się polskiego.

Nie tłumacza to wina, ale metody, że niektóre prozaiczne przekłady Słowackiego a szczególnie Norwida brzmią po angielsku afektownie, nieraz—śmiesznie. Dla tych, którzy wogóle nie znają naszego języka, przepoetyzowana, rozwleczona proza może stać się, po prostu nieznośna. Pamiętam, że kiedy czytałem fragmenty wierszy Chestertona w idealnie poprawnym przekładzie prozą, nie mogłem opanować w sobie zmiennego uczucia niedosytu, niesmaku, czczości: dobry wiersz jest dlatego dobry, że nie można go w żaden sposób przetłumaczyć na prozę. Stąd, nic dziwnego, że uproszczone wiersze Tuwima o naskórkowym liryzmie, "echt"—polszczyźnie są mniej "clumsy" w prozaicznym przekładzie, niż znakomite, skomplikowane, niezgłębione liryki Norwida; felietonowość techniki Tuwima bliższa jest prozie niż czystej poezji—przekład demaskuje to z zastanawiającą jasnością. Naturalnie i proza Żeromskiego oraz bardziej opisowe fragmenty "Pana Tadeusza" biją w przekładzie subtelne akordy liryczne Słowackiego; jeszcze jeden dowód jak ryzykowne jest tłumaczenie poezji prozą.

P. Michael nie powinien jednak zniechęcić się wynikami dość, jak się wydaje, przypadkowe współpracy z nieznanym literaturze i krytyce polskiej p. T. M. Filipem, lecz po indywidualnych studiach nad starą i nową literaturą polską zainteresować i skłonić wybitnych a młodych poetów swego kraju, żeby przyswoili literaturę angielskiej poezji najbogatszego języka słowiańskiego. Jedyne dobre poecie może tłumaczyć dobrego poete.

ANONIMOWA PUBLIKACJA.

Z wydawcami "Polish Short Stories" trudno obszernie dyskutować, ponieważ dziwaczne to zjawisko zostało opublikowane anonimowo, co prasa angielska ze zdumieniem odkryła. Potraktujemy tę antologię tak jak się traktuje wszystkie utwory anonimowe.

Zacznijmy od wyboru. Nowelę polską kazano reprezentować Weysssenhofowi, Choynowskiemu, Makuszyńskiemu, Żeromskiemu, Gwiżdżowi, Grubińskiemu, Konopnickiej, Perzyńskiemu, Tetmajerowi, Małaczewskiemu, Goetlowi, Reymontowi. Podaliśmy te nazwiska w tej samej kolejności w jakiej ukazują się w antologii. Nie jest to układ ani chronologiczny ani alfabetyczny. Wogóle: żaden układ. Mętne notatki o autorach na okładce nie podają danych biograficznych, rzecz wysoce irytująca dla cudzoziemca. Czytelnik nie będzie wiedział czy Weysssenhof umarł, czy Makuszyński jest młodszy od Reymonta. Porównuje się Makuszyńskiego do W. J. Locke'a (?)—dlaczego; po prostu nonsens!

Anonimowi kompilatorzy byli wierni anonimowości od początku do końca. Gdyby jeszcze nie dali przymiotnika "Polish" w tytule, książka zyskałaby na tajemniczości. Przekład jeży się od dziwnych zwrotów, okresów kabalistycznie zawitych, od uroczych polonizmów i dosłowności do absurdu.

Jakiś geniusz prostoty natchnął któregoś z tłumaczy (mogło ich być dwu, dziesięciu lub nawet stu: rzecz sama ani na tym nie traci ani nie zyskuje), żeby fonetycznie przyswajając Anglikom imiona polskie. I oto pomysły arcydowcipne, choć humor tu jest raczej mimowolny: "Yerzy"—Y zamiast J a "rz" jakby nigdy nic. Podobnie: Yanek, i—o, polska filuterności. "Pan Yuzef"—jak to pocziwy Anglik przeczyta, sam diabeł nie zgadnie. Dla rozmaitości w innej noweli ukazują się "George" i "Antony," które to imiona—o dziwo—tłumacz podaje normalną angielską pisownią.

Takich potknięć i nonsensów pełno na każdej stronie.

WYBÓR KTÓRY NIE JEST WYBÓREM

Jakby chcąc autorom na złość zrobić, Anonymus wybiera ich najgorsze nowele. Gdyby czytelnika nie było stać w tych ciężkich czasach na uśmiech, mogłoby łatwo podejrzewać, że "Polish Short Stories" są jakimś osobiwym sabotażem literackim. Jeden Tetmajer ocalał w pogromie. Miał szczęście, że przełożono mu "Księdza Piotra," choć można się spierać, czy należało tego rodzaju specyficzną nowelę wogóle tłumaczyć na angielski. W każdym bądź razie uważano to opowiadanie w Polsce za jedno z lepszych, jakie wyszło spod pióra autora "Na Skalnym Podhalu."

Choynowski, Żeromski i Grubiński padli ofiarą Anonymusa. Są przecież w "Kiju w mrowisku" i w "Zabawie" doskonale utwory, perełki literackie, nie!—tłumacz uparł się i wybrał najbardziej banalne. Reymonta reprezentuje napsuszony, sztuczny obrazek—znany takiego Reymonta z fragmentów jego powieści historycznych, ale jest to najślabszy Reymont. Dlaczego jednak nie wybrano jakiegokolwiek typowej, chłopskiej noweli autora "Sprawiedliwie," pozostanie to tajemnicą wyrafinowanego "sabotażyisty."

Perzyńskiego nowelka pasowała by nieźle do "London Opinion" (choć nie przeciwko temu magazynowi nie mam)—po prostu nie nadaje się do tego rodzaju książki jak antologia: jest miła, ale przerażająco naiwna i nawet miejscami płaska.

Kilka wybranych nowel nie jest wogóle nowelami jak "Tam gdzie ostatnia świeca szubienica" Małaczewskiego (a są doskonale

rzeczy w "Koniu na wzgórzu"). Jej patos, tania refleksyjność i dziennikarskie dygresje patriotyczne, których ułecantowany Małaczewski nie potrafił się czasami ustrzec, są w przekładzie nie do zniesienia. Obrazek Gwiżdża nie jest wogóle literaturą. Nawet w "Dzwonku Niedzielnym" nie miałby powodzenia. POCO umieszczono Gwiżdża? Skoro nie znaleziono miejsca dla Sienkiewicza, i mistrza polskiej noweli, Prusa.

KOGO BRAK?

Antologia, wydana przez "Minerva," niewiele ma wspólnego z antologią. Gdyby ktoś chciał pokazać cudzoziemcom rozwój noweli polskiej (która zresztą nie należy do najlepszych osiągnięć naszej literatury, szczególnie w porównaniu z Niemcami, Francją, Włochami i Rosją) powinien poza Prusem i Sienkiewiczem przełożyć Orzeszkową (na przykład "Ogniwa"), Łozińskiego, Daniłowskiego, Dąbrowską, Nałkowską, Morcinka, Kadena-Bandrowskiego, Szymańskiego, z młodszych Burka ("Droga przez wieś") wybitnie talentowanego Straszewicza ("Gromy z jasnego nieba") a także i Choromańskiego ("Opowiadania dwuznaczne").

Na tle nieprawdopodobnego wyboru Anonymusa do wymiarów geniusza urasta Makuszyński. Po prostu dlatego, że wybrano mu niezłą nowelę i przetłumaczono ją jako tako (nowela jest dziecinnie prosta, stąd jej urok w przekładzie, który w bardziej złożonych opowiadaniach roi się od niejasności). Subtelny styl Grubińskiego został przez tłumaczy wyprany ze wszystkiego: wogóle nie ma stylu.

Prasa angielska nie szczędziła nam uszczypliwych uwag powodu tej nieszczęsnej antologii. Zmarnowano dobrą okazję. Znow ktoś nieodpowiedzialny popsuł nam rynek angielski na dłuższy okres czasu.

Jako całość są "Polish Short Stories" niewątpliwie koszmarem. Przez nieudolność doboru robią wrażenie publikacji antyrosyjskiej: jeszcze jeden argument dla naszych wrogów w intelektualnym świecie anglosaskim.

Ale anonimus wziął pieniądze i zadowolony. Firma "Minerva" która nie jest firmą angielską, tym większą ponosi odpowiedzialność za tę okropną publikację.

Notujemy ze smutkiem dwie poważne pomyłki.

NOTY I UWAGI

SPRAWA POLSKA W AMERYCE

Dzielo obrony interesów polskich, zapowiedziane z taką siłą przekonania i energią przez Kongres Amerykan Polskiego Pochożenia, nie ustaje i nie ogranicza się do deklaracji. Oto niedawny przykład, jeden z wielu, pozornie drobny, ale nie pozbawiony większego znaczenia.

Przed mniej-więcej półtora miesiącem bawił w Ameryce wydawca londyńskiego "The Times", Astor. Na jego cześć Stowarzyszenie Prasy zagranicznej w Nowym Jorku wydało śniadanie. Obecnych było około 80 dziennikarzy. "Zauważono—jak pisze prasa nowojorska—niezajęte krzesło przedstawiciela PAT'a". Przemówień było tylko dwa: samego p. Astora i delegata gospodarzy. Na tego ostatniego wyznaczony został p. Wojciech

Morawski, kilkakrotnie b. prezes Stowarzyszenia.

W swoim przemówieniu p. Morawski powiedział między innymi:

"Doszły nas z Londynu złowrogie pogłoski o proponowanych modyfikacjach Karty Atlantyckiej, tego uroczystego paktu podpisanego przez wszystkie Narody Zjednoczone. Uważam się za upoważnionego do stwierdzenia, że wspomniane pogłoski wywołały przykre wrażenie wśród ogromnej większości moich amerykańskich towarzyszy, jak również w masach tak zwanych mniejszych narodów, które w wielu wypadkach są małe tylko z punktu widzenia swych sił zbrojnych, ale bynajmniej nie gorsze od wielkich mocarstw pod względem kultury i rozwoju umysłowego."

"A oto, co te masy myślą: Myślą one, że Karta Atlantycka jest kodeksem moralnym

demokracji, zasad wolności, przyzwoitości i uczciwości. Myślą one, że uczciwość nie może być stopniowana. Nic ma większej uczciwości czy mniejszej uczciwości, jest tylko uczciwość lub nieuczciwość."

"Nie zwalczamy jednego ustroju totalitarne-go po to, by służyć innemu, conajmniej tak złemu jak pierwszy."

Wśród obecnych poza prasą różnych narodo-wości byli również obecni, generał Lord, szef sztabu amerykańskiego dowództwa wscho-dniego i gen. O'Ryan, prezes National Broadcasting Company.

Sprawą polską w przededniu wyborów zainteresowała się bardzo żywo Partia Republikańska. W kołach Partii Demokra-tycznej zrodziły się obawy, że głosy polskie mogą paść masowo na Republikańskiego kandydata i w ten sposób obalić Roosevelta. Stąd rozgłos jaki nadano przyjęciu przez Biały Dom polskiego premiera i stąd zmiana tonu czelowych publicystów demokratycznych w stosunku do Polski.

Najwybitniejszym z nich obecnie, jeśli chodzi o sprawy zagraniczne, jest Walter Lippmann, którego artykuły przedrukowywane są przez całą prasę światową. Ostatnio Lippmann ogłosił artykuł bardzo pod tym względem znamienny pt. "Rosja i Finlandia" (przedrukowany m.in. również przez londyński "The Sunday Times", nawiasem mówiąc, nie mający nic wspólnego, wbrew poglądom niektórych Polaków, z "The Times").

Główny ustęp dotyczący Polski w tym artykule rozpoczyna się od stwierdzenia konieczności ułożenia stosunków "Ameryki, Brytanii, Rosji, Francji i Polski".

Stosunki te, pisze Lippmann, "muszą być wzniezione ponad poziom personaliów, starych formuł, sprzecznych sprawozdań infor-macyjnych i kawałków spornych terytoriów. Sprzeczności między Polską a Sowietami i między Rooseveltem a de Gaulle nie są kwestiami nie do rozwiązania. Muszą one być roztopione i wchłonięte przez większą sprawę urzędzenia wojny. Założeniem jakiegokolwiek możliwego urzędzenia Europy a zapewne także i świata jest, że przez zlikwidowanie agresji niemieckiej na długi okres, który nastąpi po zawieszeniu broni, będzie nie trzy ale pięć głównych mocarstw. Francja i Polska są absolutnie nieodzowne w każdym trwałym układzie europejskim. Są one dwoma wielkimi sąsiadami Niemiec i nic nie może trwać, czego nie poprą czynnie. Z tej przyczyny pełne porozumienie między Polską a Sowietami powinno być przesądzone potrzebą istnienia silnej Polski, która przez swą własną autentyczną wolę byłaby sprzymie-rzencem Związku Sowieckiego i współtworzyła oraz umacniała urzędzenie Niemiec."

Zasadnicze postawienie sprawy przez autora musi budzić satysfakcję w każdym polskim czytelniku. Ale budzi się pewna wątpliwość, czy właśnie wywołanie owej satysfakcji nie było głównym celem tego ustępu. W osta-tnich latach przed wojną coraz więcej państw podnosiło swoje poselstwa do rangi ambasad w Polsce, a równocześnie sytuacja Polski coraz stawała się niebezpieczniejsza. P. Lip-pmann podnosi Polskę do rzędu mocarstw, ale co mówi w sprawie postulatów konkre-tnych?

"Podnieść ponad poziom personaliów . . ." Czy to oznacza, że ma się od Polski przestać żądać zmian władz naczelnych wedle życzenia obcych, czy też, że Polska ma się do takich żądań posłusznie zastosować? W jednym z poprzednich swych artykułów p. Lippmann sugerował to drugie.

"Ponad poziom starych formuł . . ."

Czy kwestia ciągłości prawnej państwa polskie-go jest jedną z takich "starych formuł"? Pytanie niezwykle istotne i poświęcamy mu inue jeszcze miejsce w naszym piśmie.

"Ponad poziom sprzecznych informacji" . . . Czy kwestia kto reprezentuje naród polski jest sprzeczną informacją? "Kawałki spornego terytorium" . . . Czy terytoria okrą-żające z trzech stron mniejsze państwo przez większe mogą być za takie kawałki uważane?

Na każde z tych pytań mogą być dwie sprzeczne odpowiedzi. Jeśli odpowiedzieć na nie w duchu dla Polski niezachowującym, to wszystkie słowa o mocarstwowości stają się pułapką i wabiem dla naiwnych. Chcemy wierzyć, że to tylko nasze przewrażliwienie, ale nie możemy pozbyć się obaw, dopóki nie usłyszymy ze strony amerykańskiej jasnych na te kwestie odpowiedzi.

UKŁAD Z FRANCJĄ

Generał de Gaulle ma powody do zadowo-lenia z pobytu w Ameryce.

Dotychczasowe stosunki gaullizmu z Ameryką były kwaśne, znacznie bardziej cierpkie niż napięte nieraz stosunki z W. Brytanią. Składało się na ten stan rzeczy sporo elemen-tów. Zwierchnictwo wojskowe spoczywało w ręku generała Eisenhowera tak na terenach afrykańskich jak i na terenach odzyskiwanych we Francji: musiało to prowadzić do pewnych interferencji i zaognień z miejscową władzą gaullowską, głodną pełnego uznania. Co gorsze, metropolię kontynentalnej Francji otaczała i otacza pewna tajemnica. Pétain—po dziś dzień—nie jest wcale tak niepopularny, jakby sobie Gaulliści życzyli. Ameryka, mająca za sobą dłuższe doświadczenia kontak-tu z Vichy w pierwszych latach wojny, nie była wcale do głębi przekonana, że metropo-litalna Francja jest tak właśnie gaullowska jak Algier i Tunis.

Wszystko to wpłynęło na to, że nawet po inwazji, i nawet po doskonałym spisywaniu się wojsk gaullowskich w Italii, Komitet Narodowy Algierski nie uzyskał uznania jako Rząd Francuski nawet prowizoryczny, ani ze strony W. Brytanii ani ze strony Ameryki. Na ucho szepetano sobie, że Anglicy by chcieli, ale Ameryka stoi na wstręcie. Doszło do tego, że wojska inwazyjne operowały *ad hoc* emitowanymi frankami, wypuszczonymi bez porozumienia z Komitetem Narodowym w Algierze . . .

Groziło to chaosem. Niedawne układy francusko-brytyjskie, obecnie już nawet san-kcjonowane przez Rząd Jego Królewskiej Mości, zapewniły praktyczne rozwiązanie szeregu kwestii na najbliższą przyszłość, celem uniknięcia anarchii na uwalnianych terenach. Rozwiązania praktyczne wybiegaly: szybko przed wlekące się rozważania prawne: wojska inwazyjne anglo-amerykańskie niosły ze sobą, i pozostawiały za sobą—funkcjona-riusz gaullo-wskich z delegatem p. Coulet na czele.

Było to niejasne i nawet dwuznaczne: urzędnicy ci reprezentowali władzę *de jure* nieuznaną.

Obecnie Generał de Gaulle wraca z Ameyki z wyraźnym dorobkiem: o uznaniu *de jure* Komitetu Algierskiego jako Rządu Francuskie-go nawet prowizorycznego, nie było nawet mowy. Ale—i to daleko na dziś ważniejsze—Stany Zjednoczone uznały Francuski Komitet Narodowy jako "*de facto* władzę dla cywilnej administracji we Francji" ("as de facto authority for civil administration in France").

W ten sposób formuła amerykańska wyprze-dziła z kolei nawet formuły układu anglo-francuskiego! *Times* nie ukrywa swego z tej przyczyny złego humoru: "rozmowy

Generała de Gaulle'a z prezydentem Rooseveltem są niezmiernie korzystne, choć można się trochę dziwić, że Rząd Brytyjski dowiedział się o tej deklaracji po raz pierwszy z gazet. Ale, choć ostateczny krok został zrobiony przez Stany Zjednoczone bez konsultacji, jest on jedynie logicznym wnioskiem układu o cywilnej administracji zawartego już przed tym między władzami brytyjskimi a Generałem de Gaull'em" (" . . . some surprise may be felt that the British Government first learned of this declaration through the Press).

Cały ten rozwój wypadków jest ważnym precedensem dla reszty zajętej przez Niemcy Europy. Nawet na wypadek nieosiągnięcia zadawalającego rozwiązania prawnopolitycznego, okazuje się, że na tych terytoriach nie wolno zostawiać wolnego pola dla anarchii i przypadku. Realne rozwiązania na czasy najbliższe muszą tam być praktyczne i efektywne i winny dotyczyć przede wszystkim spokojnego administrowania odzyskanymi ziemiami. Zada-nia tego nie sposób zostawić władzom wojskowym okupującej armii inwazyjnej. Gospodarzem cywilnym musi być Rząd, danego narodu, uznany jako Rząd aliancki.

Jest to tak dalece prawdą, że okazało się to nie do uniknięcia — nawet w wypadku Komitetu Algierskiego, który nie uzyskał dotąd praw Rządu nawet w znaczeniu Rządu prowizo-rycznego.

A *fortiori* precedens ten obowiązywać musi w stosunku do Rządów od dawna zasiadających *de jure* między Rządami alianckimi.

UNRRA A LUDNOŚĆ POLSKI

Jeden z czytelników zwraca nam uwagę, w związku z notą w numerze poprzednim "Myśli", dotyczącą UNRRY, na bardzo niebezpieczne zjawisko.

UNRRA jest organizacją mającą nieść pomoc przede wszystkim narodom sprzymie-rzonym. Rozpoczynać ma ona swą działalność w danym kraju na wezwanie rządu miejscowego lub sprzymierzonej armii okupa-cyjnej. Polska jest jednym z najstarszych krajów sprzymierzonych, najdawniej wojują-cym, najbardziej wyczerpanym wojną, po-trzebującym pomocy w najszerszym zakresie i najszybciej.

Wojska sowieckie wchodzą na ziemie polskie coraz głębiej. Wojska polskie walczą na innych frontach. Sowiety nie uznają rządu polskiego. UNRRA nie ma uregulowanych stosunków z armią sowiecką. Sowiety mają wiele powodów, by nie dopuścić anglo-amery-kańskiego aparatu UNRRA na okupowane przez siebie tereny.

W ten sposób, gdy Armia Krajowa walczy na tyłach niemieckich, a dywizje polskie na frontach zachodnich, głodująca ludność Polski nie otrzyma żadnej pomocy od sojuszników.

GENERAL CZERNIAKOWSKI

W prasie brytyjskiej i amerykańskiej dzien-nikarze żydowskiego pochodzenia zgodnym chórem obwieścili triumfalnie, że dowódca sowiecki, który zajmie Wilno, gen. Czerniakowski, jest żydem.

Złośny to triumf. W starej stolicy cha-chamów nie powita generała Czerniakowskiego żadna delegacja żydowska. Żydzi wileńscy leżą w olbrzymich zbiorowych mogiłach na Górach Ponarskich, pomordowani przez Niemców przy pomocy rąk litewskich przed przeszło dwoma laty.

My byśmy woleli, żeby żydzi wileńscy nie byli wymordowani i żeby miasta nie zajmował generał Czerniakowski. Niechby tam był choćby generał . . . Mond.

SZCZURY

Jednostki które z tych czy innych względów udawały przez długi czas lojalnych obywateli, obecnie uważają, że można już sobie pozwolić na większą otwartość i ich krecia robota wychodzi coraz bardziej na jaw.

W dniu 8-go lipca w dwóch czasopismach, których współpracownikiem i specjalistą od spraw polskich jest p. Izaak Deutscher ukazały się artykuły pozornie obiektywne i życzliwe dla Polski a w gruncie rzeczy podstępnie antypolskie. "The Economist" zamieścił dłuższą korespondencję o sytuacji w Polsce, w której między innymi napisano: "Rozwinał się uderzający kontrast między intensywną aktywnością szczupłych kadr "Państwa Podziemnego" a apatyczną biernością szerokich mas ludu w obliczu niemieckich łapanek, wysiedleń i masowych egzekucji," a także, że ruch podziemny "nie nadaje oporowi szerokiego i ludowego charakteru." Nieprawda jest tu bezczelna i obliczona na ignorancję czytelnika, bo w żadnym kraju okupowanym ruch podziemny nie ma tak masowego charakteru jak w Polsce. Toteż w "Observer'ze" wyrażono tę myśl nieco ostrożniej, twierdząc, że w żadnym z krajów okupowanych kadra podziemna nie może rościć sobie praw do reprezentowania masy ludowej.

W tymże piśmie w następną niedzielę opowiedziano obszernie o tym, jak to Rosja porozumie się ze wszystkimi kierunkami politycznymi polskimi na miejscu w kraju. Równocześnie w prasie Beaverbrook'a ("Evening Standard") zaczęły się ukazywać artykuły p. Bernarda Singera. Pierwszy był o Mińsku i opiewał wielkie dzieło dokonane w tym mieście przez Sowiety, jego niesłychany rozwój w każdym kierunku i wielką rolę miejscowych żydów. Drugi poświęcony był Wilno. O tym że Wilno było miastem polskim nie można się było z niego dowiedzieć. Najwięcej było o żydach, potem o Litwinach, Białorusinach, Rosjanach i Karaimach. O Polakach tyle właśnie, że tam powstał polski romantyzm, że Polacy przesładowali żydów i byli pod wpływami hitlerowskimi oraz, że polski sejm przyłączył Wilno do Polski (O tym, że przyłączył je na zasadzie jednomyślnej uchwały sejmu wileńskiego ani słowa).

"News Chronicle" pozyskała nowego współpracownika w osobie p. Stefana Litauera, doniedawna prawej ręki prof. Kota i dyrektora P.A.T. Litauer przystąpił do pisania cyklu artykułów o stosunkach polsko-rosyjskich. W pierwszym z nich rozwinął tezę że rząd polski nie jest legalny, bo opiera się na "totalistycznej" konstytucji. Znowu licząc na ignorancję czytelnika, twierdzi między innymi że ograniczenie dobrowolne władzy Prezydenta istniało tylko za życia gen. Sikorskiego a odnowienia go w stosunku do rządu Mikolajczyka Prezydent odmówił. Jest to opublikowane w kilka dni po oświadczeniu Prezydenta, przypominającym, że ograniczenia te nadal uważa za obowiązujące. Dalszą tezę p. Litauera jest, że rząd polski nie ma oparcia w ruchach politycznych, przyczym autor daje do zrozumienia, że zarówno opozycja wewnętrzna w PPS i u Ludowców jak i Stronnictwo Narodowe są bliższe Sowiетom niż rządowi polskiemu. Litauer jest wiernym uczniem Hitlera, który stwierdził, że wielkie kłamstwa zawsze pozostawiają coś w umysłach ludzkich a zatem unikać należy tylko małych kłamstw.

Akcja wymienionej grupy może mieć obosieczne skutki. Polsce niewątpliwie zaszkodzi. Ale wśród interesujących się bliżej sprawami Europy Środkowej Brytyjczyków wywołać może ciekawe refleksje na temat pewnych typów ludzkich działających w ich własnym kraju.

KSIĄZKA

ŻYCIE POLSKIE W OCZACH ANGLIKÓW

Wyszło do tej pory w ciągu obecnej wojny sporo rzeczy o Polsce w języku angielskim. Były to jednakże rzeczy pisane przez Polaków a w każdym razie w myśl założeń aktualnych potrzeb propagandy polskiej, pojętej jaknajwężej. Takie rzeczy, choć często niezbędne, są zawsze w każdym kraju przyjmowane przez publiczność najgorzej. Połowa wartości jakiegos wydawnictwa odpada, jeżeli wiem, że jest ono wydawnictwem zagranicznej propagandy. "Dobra prasa" jakiegos kraju zaczyna się tam, gdzie budzi się samorodne zainteresowanie danym krajem, gdzie czytająca publiczność szuka książek o nim a ludzie mający coś o nim do powiedzenia wydają swoje wspomnienia i obserwacje. Jest to propaganda pośrednia ale znacznie skuteczniejsza, ona bowiem wytwarza "klimat."

Jedyną bodaj wydaną w ciągu tej wojny książką o Polsce tego drugiego typu były przestarzałe już dzisiaj z punktu widzenia aktualności a grzeszące egzaltacją, choć i ujmujące szczerze wspomnienia nienazwanej Angielki, żony Polaka pt. "My Name Is Million." Była to rzecz pisana w nastroju pierwszego roku wojny, w nastroju żywiołowej ale zarazem zdawkowej sympatii do naszej ojczyzny. Potym nastąpiła głucha cisza. I dopiero właśnie kiedy na Polskę rzuciła się z całą siłą propaganda jednego mocarstwa i trzech międzynarodówek, kiedy i z niektórych kół angielskich zaczęto na Polskę rzucić błotem, pojawiła się reakcja w tym kraju, w którym zawsze idealizm znajduje jakies formy uzewnętrznienia się naprzekór interesom i rozgrywkom.

Obecnie ukazała się jedna książka, jedna książeczka, dwie broszurki, a zapowiadają ukazanie się sporej nowej broszury. Książka napisana jest przez Brytyjkę, wdowę po lotniku polskim i nosi tytuł "Jan, Portrait of a Polish Airman." Książeczkę napisał p. Stokes pt. "Happy Days in Poland." Z broszurek jedna daje doskonale streszczenie dziejów Polski przedrozbiorowej a jest pióra p. Bruce Boswell, profesora historii i literatury rosyjskiej na uniwersytecie w Liverpool, druga omawia aktualne zagadnienie "Poland, Russia and our Honour," jest chronologicznie najstarsza ze wspomnianych wydawnictw a autorem jej jej p. McKee. Zapowiadany wreszcie jest reportaż z życia i walki Polski Podziemnej "Hania is Late To-night."¹⁾

Przez dwa wieki Brytyjczycy, jeśli wogóle byli informowani o Polsce, to tylko albo przez jej wrogów albo jako o problemie romantyczno-humanitarnym, czymś w rodzaju zniesienia niewolnictwa ług handlu żywym towarem. Toteż pierwszą potrzebą rynku czytelniczego brytyjskiego jest informacja

o Polsce. Nie dane statystyczne czy historyczne, ale obraz życia, jakies pojęcia jak ta Polska wygląda i czym jest. Anglicy lubią konkret i opowiadanie, nie argumentację logiczną. Wyobrażają sobie rzeczy nieznanne trudno i lubią mieć wyjaśnienia szczegółowe. Naprzeciw tym potrzebom wychodzą książki Stokesa i "his English wife." Są to rzeczy, którychby Polak napisać nie potrafił, nawet Polak oddawna zamieszkały w Anglii, ponieważ, mimo wszystko, zbyt jest przesiąknięty atmosferą polską, by czuł, co w niej jest egzotycznego, odrębnego, ujmującego i ciekawego dla Brytyjczyka.

Niesposób tu cytować przykładów tego, co szczególnie uderza angielskich autorów, jest ich zbyt wiele. P. Stokes np. kolejno opisuje życie codzienne w Warszawie, robiąc szereg bardzo inteligentnych i zabawnych uwag, któreby żadnemu z nas nie przyszły do głowy, dalej wycieczki Wisłą, polowania, (ale te zwykle skromne, sportowe, nie oficjalne, którymi jawnie gardzi), następnie polskie wakacje i wreszcie reakcje społeczeństwa wobec nadciągającej wojny. Nie szczędzi i uwag krytycznych, np. o niegrzeczności kierowców, ale daje obraz wierny, który napewno jest lepszy od tego, co sobie wyobrażają przeciętni Anglicy o Polsce.

Jak egzotyczne są pewne strony życia polskiego dla Anglików, z tego można sobie zdać sprawę czytając książkę "Jan". Autorka nigdy w Polsce nie była ale ukochany człowiek opowiedział jej tyle o swoim dzieciństwie i młodości, a widocznie umiał opowiadać barwnie, że obraz życia pokolenia polskiego zrodzonego w przededniu pierwszej wojny światowej jest żywy i zdumiewająco prawdziwy. Otóż to, coby Polak uważał za tak pospolite, że aż niegodne opisu, autorka właśnie wydatnia i widać jak ją to interesuje. Staje przed nami Polska patriotyczna, rozpolitykowana, biedna, z ludźmi pełnymi temperamentu, kłócącymi się i intrygującymi, ale zdolnymi do niebywałych poświęceń, pełna samorodnych talentów, z wysokim typem życia rodzinnego, przesadami dzielnicowymi, poufałym stosunkiem do religii, gdzie dobroć serca dziwnie się łączy z obraźliwością a konserwatyzm obyczaju z nalożoną rewolucyjnością.

• Historia opowiedziana w tej książce jest bardzo zwyczajna — dla nas. Chłopak w gimnazjum poznaje dziewczynę, zakochuje się, przez siedem lat czekają na siebie, a kiedy się wreszcie mogli pobrać, przychodzi wojna, ją zabija, jego wyrzuca z kraju. Ileż każdy z nas nał takich par! Dla Anglików wszakże jest coś dziwnie egzotycznego w tym życiu, jakie pędziła młoda inteligencja polska.

Czym była Polska od strony historycznej tłumaczy rodakom Bruce Boswell. Dawna Polska jest znana Anglikom głównie z tytułu rozbiorów. Rozbiornicy usiłowali urobić opinię angielską naprzód do przyjęcia faktu rozbiorów jako słusznego, a następnie bronić swych zdobyczy przez półtora wieku. Nieliczni ale aktywni przyjaciele Polski gwałtownie polemizowali z nimi. Sprawa polska była

1) Jan, portrait of a Polish airman, by his English wife. London 1944, Geoffrey Bles. Str. 256.

S. E. W. Stokes. Happy Days in Poland. Harrow 1944, Atlantis Publ. Co., Str. 86.

Past of Poland, by A. Bruce Boswell, M.A., London 1944. Str 14.

na Zachodzie zagadnieniem więcej ideologicznym niż politycznym. Owóż historyk liverpoolski usiłuje wyzwolić rodaków od tej obsesji rozbiorowej i ukazać im czym była dawna Polska, jaki jej wkład w cywilizację i politykę europejską.

Nie wydaje się przypadkowym to, że właśnie teraz w końcu piątego roku wojny obudziło się w Anglii bardziej autentyczne zainteresowanie Polską. Dopiero stawczy się trudnym problemem politycznym, Polska stała się pełną rzeczywistością dla mieszkańców tych wysp.

Z życia społecznego

PROTEST SPOŁECZEŃSTWA przeciw projektom "linii demarkacyjnej"

W DNIU 7 lipca 1944 kilkusobowa delegacja Związków Ziem Północno i Południowo-Wschodnich R.P. złożyła Premierowi Mikołajczykowi następujące oświadczenie, złożone też następnie — w dniu 13 lipca 1944 — najwyższej polskiej instancji państwowej — Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Oto tekst oświadczenia:

"Rada Związku Ziem Północno-Wschodnich w dniu 20 czerwca 1944 r. i Zarząd Główny Związku Ziem Południowo-Wschodnich w dniu 22 czerwca 1944 r. postanowiły ujawnić wobec Prezydenta Rzeczypospolitej oraz Rządu swe stanowisko w kwestiach następujących:

I. Pan Premier w wywiadzie prasowym z 2 czerwca r.b. oświadczył, że pozostają w mocy propozycje Rządu Polskiego o linii demarkacyjnej na wschód od Wilna i Lwowa, przytem terytorium polskie na wschód od tej linii podlegać będzie jurysdykcji rosyjskiej. Oba Związki uważają, że w obecnej sytuacji politycznej zgoda na oddanie tego terytorium jurysdykcji rosyjskiej stwarza niebezpieczeństwo pozostawienia go we władaniu rosyjskim na trwałe.

II. Związki Ziem Wschodnich uważają, że obywatele zamieszkali w tej części terytorium Rzeczypospolitej Polskiej pełnili wobec Państwa wszystkie swe obowiązki i że przysługują im narówni z obywatelami innych dzielnic Rzeczypospolitej wszystkie prawa, wśród których prawo do obrony jest prawem zasadniczym i elementarnym.

III. "Jurysdykcja rosyjska" na naszym terytorium wyraziła się w prześladowaniach obywateli, wśród których na pierwszym miejscu wymienić należy deportację przeszło miliona naszych obywateli w głąb Rosji, z których dotychczas dało się uratować zaledwie niedużą część. Oba Związki uważają, że nic nie wskazuje, aby mająca nastąpić za zgodą Rządu Polskiego jurysdykcja rosyjska miała inny tym razem charakter.

IV. Związki Ziem Wschodnich konstatują, że duża część żołnierzy Armii Polskiej, a zwłaszcza żołnierzy walczących dziś we Włoszech, zdobywców Monte Cassino, posiada rodziny albo na terytorium, któreby przypadło jurysdykcji rosyjskiej ze wszystkimi jej konsekwencjami, albo w samej Rosji.

V. Związki Ziem Wschodnich uważają, że pomiędzy dwoma aktami naszego Rządu zachodzi tragiczna niezgodność. Chodzi tu

o odezwę pełnomocnika naszego Rządu wzywającą obywateli Ziem Wschodnich do pozostawania na miejscu w razie wkroczenia wojsk sowieckich i zapewnijającą ich, że czuwa nad nimi opieka Rządu Polskiego i oświadczenie Pana Premiera o propozycjach polskich oddania części Ziem Wschodnich pod jurysdykcję sowiecką.

VI. Pan Premier stwierdził w swym wywiadzie, że zgadzając się na jurysdykcję rosyjską w części Polski idzie dalej niż go upoważniło podziemne Państwo Polskie. Związki Ziem Wschodnich stwierdzają, że wystąpienie Pana Premiera sprzeczne jest z uchwałami Kraju z dnia 15 marca 1944 r. Pan Premier wyraził także nadzieję, że większość Polaków w tej sprawie stanie po jego stronie. To ostatnie oświadczenie Pana Premiera Związki Ziem Wschodnich uważają za niedopuszczalne.

VII. Związki Ziem Wschodnich, nawiązując do tematów poruszanych w publicystyce brytyjskiej o wymianie części terytorium Rzeczypospolitej na Prusy Wschodnie, precyzują swe stanowisko w sposób następujący:

Znane są w historii przykłady ustąpienia własnego terytorium na skutek przegranej wojny. Odpowiedzialność przed historią wymaga jednak obrony tego terytorium do wyczerpania wszelkich możliwości. Jako mieszkańcy tych Ziem uważamy za swój obowiązek wskazać na niedopuszczalność dobrowolnego ogłaszania naszego Kraju, jako obiektu do wymiany lub sprzedaży. To też Związki Ziem Wschodnich protestują przeciwko jakemukolwiek junctum sprawy Prus Wschodnich za sprawą odstąpienia Ziem Wschodnich."

Wydawnictwo Ministerstwa nie jest tekstem Expose, a jak sam tytuł podaje: są to w y t y c z n e ministerstwa wg. expose. Różnica polega na pewnym retuszu jaki został wprowadzony przez skreślenia, poprawki i dopiski, których pierwotnie nie było.

I tak, dla przykładu, wskażę że, skreślono (str 5, tekst powielany) zdanie: "Celem jest wpajanie w młodzież ideologii, straszczającej się w słowach: "Jedna jest rzecz wielka—Rzeczpospolita; wszystkie inne rzeczy są małe. "Skreślono również cytaty wypowiedzi dwu protestanckich autorytetów (vide str. 6-7 i 25, tekst pow.) Zdanie: "wpajanie hellenickich zasad humanizmu i demokracji" zastąpiono innym.

Dopisano zaś w wydawnictwie Ministerstwa szereg nowych ustępów, w których jeden został zacytowany przez Ks. Pyszkowskiego. Zdanie to brzmi: "Jeżeli chodzi o młodzież Katolicką to jej wychowanie religijne winno opierać się na programie opracowanym w myśl wskazań Kościoła przez Episkopat Polski." (Str. 12 wydawn. Ministerswa).

Wyjaśniając powyższe pragnę zapobiec dalszemu wprowadzaniu w błąd opinii publicznej i ułatwić dalszą dyskusję przez ustalenie co jest przedmiotem krytyki.

Co się zaś tyczy wysuwanego przez pewne koła, w ustnych rozmowach, zarzutu "zgorzienia"—jakie ma powodować dyskusja księży, pragnę zwrócić uwagę, że należy odróżnić wypowiedzi obowiązujące hierarchii Kościoła, które katolicy przyjmują bez dyskusji, od nieobowiązujących, politycznych wypowiedzi poszczególnych księży, Aby mieć obiektywne kryteria oceny, trzeba pilniej studiować naukę Kościoła.

Pozostaję z poważaniem.

Ks. Stanisław Belch.

Enfield dnia 14.VII.44.

33, Cecil Road.

Listy do Redakcji

O KATOLICKIE WYCHOWANIE

Do Redakcji Myśli Polskiej
w Londynie.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W dniu 3.6.44, w Dzienniku Polskim zamieszczony został artykuł Ks. Pyszkowskiego, w którym autor atakując mnie stwierdza, że nie podziela moich obaw, a jako kontrargument w obronie stanowiska Księży Ministra podaje zdanie mówiące, że wychowaniem Katolików ma kierować Episkopat, który to punkt nie może budzić zastrzeżeń u Katolików.

Początkowo nie miałem zamiaru na to odpowiadać, ale wobec zapytań i na prośbę kilku osób wyjaśniam co następuje:

1. W lutym br. zostało wygłoszone Expose i jednocześnie ukazał się jego tekst wydany na powielacz, obejmujący 9 stron maszynopisu. Ten tekst, jako oficjalny, przyjąłem za podstawę swojej polemiki.

2. W maju ukazała się moja broszura pt.: "O Prawdę i Treść Wychowania Polskiego—Expose Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego X. Z. Kaczyńskiego, wygłoszone na posiedzeniu Rady Narodowej w dniu 17.2.1944 wobec zasad i postulatów Katolickich." W tym samym prawie czasie wyszło z druku wydawnictwo Ministerstwa WR i OP, w cyklu "Nauka i Wychowanie," Zeszyt 5, pt.: "Oświata i Kultura w Polsce Powojennej—Wytoczne polityki kulturalno-Oświatowej Ministerstwa W.R. i O.P. według Expose, wygłoszonego przez Ministra WR i OP"

MIMOCHEDEM

PROPAGANDA OGLUPIANIA

"Daily Worker" z 19 lipca:

"Dekretem Rady Komisarzy Ludowych Z.S.S.R. zorganizowana została Rada Spraw Dotyczących Wyznań Religijnych przy Radzie Komisarzy Ludowych Z.S.S.R. celem utrzymania kontaktu między rządem Z.S.S.R. i przywódcami stowarzyszeń religijnych

Sądzę że jest u nas wielu duchownych, którzy przyznają, iż jest to bardziej demokratyczna forma stosunków między organizacjami religijnymi a państwem niż utrzymywanie Ustanowionej Kościoła (Established Church).

"News Chronicle" z tegoż dnia:

"W 1939-ym roku armie Stalina wkroczyły do Polski by spotkać niebezpieczeństwo niemieckie (to meet the German threat), ustanowiły Litwę jako składową republikę Z.S.S.E. i przywróciły Wilno jako jej stolicę."

TRĘŚĆ Nr. 74 "Myśli Polskiej":

WILNO.—MY NARÓD POLSKI—M.R.;
KLUCZ DO EUROPY—P. J.; ORDYNACJA
WYBORCZA—K.; DWIE POMYŁKI—
Jerzy Pietrkiewicz; NOTY I UWAGI;
Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO; LISTY DO
REDACJI; MIMOCHEDEM.